Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 108 (Rok VII, Nr 3) Marzec, 1947 Cena (Price) 2/-

KONFERENCJA W MOSKWIE

Jest rzeczą znamienną, że konferencja moskiewska czterech ministrów spraw zagranicznych, która miała być poświęcona wyłącznie sprawom niemieckiej i austriackiej, zaczęła się od żądania Mołotowa, aby przedyskutować problem — Chin. Jak widać, Rosja nie zamierza zamykać się w obrębie spraw europejskich i — czy trzeba czy nie trzeba — przypomina o swoich zainteresowaniach na Dalekim Wschodzie.

W dwa dni potem prezydent Truman w przemówieniu, które oznacza historyczny zwrot w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, przedstawił Kongresowi konieczność przyjścia z pomocą Grecji i Turcji. Podkreślił zatem, ku zdumieniu całego świata, że Ameryka interesuje się nie tylko azjatyckimi sprawami, ale że zarazem zajmuje się kwestiami europejskimi. Prawda, szczególna troska Stanów Zjednoczonych o Grecję i Turcję płynie stąd, że poprzez te kraje prowadzi droga z Rosji Sowieckiej na Bliski Wschód, nie mniej okazuje się, że kto chce kontrolować pola naftowe w Azji Przedniej musi dbać o Europę.

Nie można było otrzymać lepszego przykładu niepodzielności polityki światowej oraz wielorakich zazębień wszystkich spraw, jakie wchodzą w grę na gruncie międzynarodowym. Poruszone zostały zarazem trzy główne punkty, gdzie się rozstrzygnie walka o prymat w świecie między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką, t.j.: Niemcy oraz Daleki i Bliski Wschód. Sprawa wojny czy pokoju rozgrywa się właśnie na tych obszarach, a Ameryka na czas, jak się zdaje, bierze obecnie inicjatywę w swoje ręce.

Przemówienie prezydenta Trumana w sposób pośredni tylko, ale jakże istotny i ważny, dotyka sprawy polskiej. Z tego pośredniego charakteru interwencji wynika różnica w traktowaniu nas i Grecji. Prezydent Truman podniósł, że Stany Zjednoczone kilkakrotnie *protestowały* przeciwko przymusowi, stosowanemu w Polsce, Rumunii i Bułgarii, w Grecji zaś i Turcji zastosuje się skuteczniejsze formy pomocy: finansową i wojskową. Żałować wypada, że kraj nasz nie graniczy z polami naftowymi. Niemniej prezydent Truman wyraźnie stwierdził, że upadek Grecji fatalnie by zaciążył na losie tych narodów europejskich, które walczą o wolność i utrzymanie niepodległości w najtrudniejszych warunkach.

W sposób bezpośredni natomiast uderza w nas zagadnienie Niemiec. Nie wiemy, czy, jak i co w tej sprawie zostanie załatwione w Moskwie. Jedno, zdaje się, nie ulega wątpliwości: że okres cofania się Stanów Zjednoczonych minął i że w dziedzinie dyplomatyczno-ekonomicznej przechodzą one z pozycji obronnej na zaczepną. Czym się to skończy w Moskwie, trudno przewidzieć.

Niezależnie od tego, czy konferencja moskiewska zakończy się niczym, czy jakimś kompromisem odraczającym sporne sprawy, trzeba w najbardziej generalnych liniach określić nasze stanowisko wobec Niemiec.

Przede wszystkim nie uważamy, jakoby niebezpieczeństwo niemieckie przestało istnieć po ostatniej klęsce. Doceniając w pełni różnice, jakie zachodzą pomiędzy przegraną w Pierwszej Wojnie Światowej, a klęską obecną, nie trzeba zapominać, że Niemcy szybko się z upadku podnoszą i że mogą znów w sprzyjających warunkach sięgnąć po prymat w Europie.

Pomimo okupacji całego terytorium Niemiec przez aliantów, pomimo zniszczeń wojennych, które dotknęły bezpośrednio ziemię niemiecką, Niemcy nazajutrz po klęsce — dzięki rywalizacji zwycięskich mocarstw — znalazły się w roli zalotnicy, o której względy dbają zarówno Anglosasi, jak Rosjanie. Rywalizacja ta podbija cenę i może szybciej, niż się zdaje, podnieść z upadku pobite Niemcy. Stwierdzić zatem trzeba, że niebezpieczeństwo niemieckie nie zostało usunięte *na zawsze*, jak chcą optymiści, jeno zmniejszone i w czasie przesunięte.

Z kim Niemcy pójdą? Sprawa ta nie została jeszcze przez nich zdecydowana. Mogą pójść w pierwszej rundzie z Sowietami, chociaż ich nienawidzą, mogą poprzeć Anglosasów, chociaż dalecy są od ich uwielbiania. Według nas połączą się z tym spośród dwu walczących obozów, który ocenią jako silniejszy. Stąd o wiele większą rolę w zdobywaniu sympatii narodu niemieckiego ma poczucie siły i świadomość celu, jaka bije z ostatniej mowy prezydenta Trumana, niż kwestionowanie stałości zachodniej granicy polskiej w sztutgarckiej mowie Byrnesa.

Doszliśmy do tego, że w kancelariach dyplomatycznych zwycięskich mocarstw więcej się myślało o pozyskaniu opinii narodu niemieckiego, niż o obezwładnieniu Niemiec.

Pytanie główne brzmi: jak sparaliżować na przyszłość nowe dążenia niemieckie do hegemonii w Europie? Nie sądzimy, aby najskuteczniejszą drogą osłabienia Niemiec było rozbicie Rzeszy na szereg luźno ze sobą złączonych państw i państewek, czyli t.zw. federacja Niemiec. Czy nie jest już za późno na wprowadzenie i utrzymanie takiego ustroju? Tego rodzaju plany były realne kilkadziesiąt lat temu, ale dziś, po Bismarcku i Hitlerze, którzy niewątpliwie stworzyli *jeden* naród niemiecki, czy dziś — pytamy — można budować na sfederowanych Niemczech jako na trwałym zabezpieczeniu przed nową próbą rewanżu przy najbliższej okazji?

Jedynie skuteczną drogą obezwładnienia Niemiec na czas dłuższy jest obcięcie terytorialne Rzeszy na wschodzie i zachodzie. Obok rozbrojenia, okupacji, odszkodowań najpewniejszym i najtrwalszym sposobem uchronienia się przed widmem imperializmu niemieckiego jest odłączenie od Rzeszy ziem na wschód od Odry i Nisy Łużyskiej, gdzie tkwiły główne źródła potęgi i militaryzmu pruskiego, oraz Zagłębia Saary i innych obszarów na zachodzie. Pozbawienie Niemiec dwu basenów węglowych i centrów przemysłowych, jakimi są Zagłębie Ruhry na zachodzie i Śląsk na wschodzie, podcina — wraz z włączeniem Prus Wschodnich w ramy państwa polskiego — siłę prusactwa, które tak fatalnie ciążyło na losach Niemiec i Europy.

Czy władcy dzisiejszego świata zechcą skorzystać z wyjątkowej okazji, jaka się zdarza raz na tysiąc lat i uwolnią świat od zmory niemieckiej, czy będą budować na piasku bez mocnych fundamentów, licząc naiwnie na "dobrych," demokratycznych, czy socjalistycznych Niemców, przyszłość niedaleka pokaże.

M. E. ROJEK

BĘDZIEM POLAKAMI

ODBYTY niedawno w Londynie kongres Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii — tworu, który długą jeszcze będzie musiał odbyć drogę, by zasłużyć sobie na przyjętą nazwę, — dostarczył pobudek do rozważenia i sposobności do częściowego przynajmniej przedyskutowania w publicznym polskim gronie tego naszego zjawiska i problemu zarazem narodowego, jakiemu na imię jest ostatnia, wojenna i powojenna, emigracja polityczna.

EMIGRACJA ZMOTORYZOWANA

Emigracja ta powstała w związku z prowadzeniem wojny przez Polskę. Nieduża tylko jej część była produktem tego, co w pierwszych latach wojny *vox populi* nazwał "emigracją zmotoryzowaną". Ta ostatnia objęła swoim zasięgiem ową lotną polską formację społeczną, która w nienormalnych warunkach naszej przedwojennej rzeczywistości zajmowała stanowiska uprzywilejowane na szczytach ówczesnej hierarchii oficjalnej, cywilnej i wojskowej, i która dysponując samochodami oraz pretekstami ewakuacji szybko znalazła się za granicą, przybywając wszędzie przed emigracją właściwą, polityczną i żołnierską, i lokując się jak najwygodniej dla siebie, bez żadnego względu na dobro publiczne. Część tej emigracji zmotoryzowanej, zwłaszcza młodsza jej generacja, emancypowała się w ciągu wojny spod wpływów i poglądów swego środowiska i zasiliła szeregi emigracji walczącej, druga część z właściwą sobie giętkością i zwrotnością moralną pośpieszyła na służbę do reżimu lubelskiego w Polsce, jeszcze zaś inna utrzymała się na emigracji i zachowała swoje poglądy na sprawę publiczną w stanie niezmienionym, jak owi Burbonowie, którzy niczego się nie nauczyli ani niczego nie zapomnieli.

Zupełnie oddzielnie od emigracji zmotoryzowanej i jej pogrobowców traktować należy ogromną większość polskiej emigracji wojennej, politycznej i żołnierskiej. Składa się ona z ludzi, którzy opuścili kraj nie jako "ewakuowani", ale jako ochotnicy do walki orężnej bądź jako emisariusze i delegaci polityczni, wreszcie jako deportowani przez wroga korzystający następnie z każdej sposobności, by dołączyć do walczących szeregów. Osobno wymienić tu należy tych naszych żołnierzy i lotników, a przede wszystkim marynarzy, którzy nigdy nie zaznali goryczy kapitulacji i niewoli, lecz w ciągłym i bezustannym wysiłku podtrzymywali walkę zbrojną u boku sojuszników zachodnich.

Dzieło tej polityczno-żołnierskiej emigracji dokonane w czasie wojny było olbrzymie i na zawsze pozostanie w historii jako wyraz żywotności naszej rasy i jej woli obrony niepodległości narodowej. Śmiało rzec można, że w ogóle nie ma w dziejach przykładu, żeby jakikolwiek naród wystawił tak znaczne siły zbrojne poza swoim terytorium i tak napełnił świat echem swoich czynów. Cokolwiek się myśli i mówi o t.zw. realiach politycznych, ten polski wysiłek wojenny na emigracji ma swoją realną wymowę polityczną i międzynarodową. Niewątpliwie jest on i będzie nadal przedmiotem studiów, rozważań i wniosków. Jest naszą rzeczą — powojennej polskiej emigracji politycznej — dopilnować, żeby sens tego wysiłku został przez kogo należy zrozumiany i oceniony.

Wskutek znanych wydarzeń politycznych na arenie międzynarodowej znaczna ilość emigracji wojennej nie może powrócić do kraju, oddanego pod dyktaturę partii komunistycznej, podlegającej — jak na całym świecie — rządowi Związku Sowieckiego. Zadaniem tej emigracji jest walczyć dalej otwarcie o niepodległość Polski i w odpowiednim momencie połączyć swoje wysiłki z pracami narodu w kraju, dążącego do tego samego celu.

WYCHODŹCY, LECZ NIE UCHODŹCY

Z wywodów powyższych wynika, że nie nadaje się dla naszej emigracji wojennej nazwa uchodźców. Uchodźcy są to zazwyczaj nieszczęśliwi, bezradni ludzie, nie widzący przed sobą celu i stający się łupem byle drapieżnika politycznego czy gospodarczego. Do większości obecnej emigracji polskiej nie powinny odnosić się słowa Mickiewicza z paryskiego Epilogu :

Biada nam, zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy !
Bo gdzie stąpili, szła przed nimi trwoga,
W każdym sąsiedzie znajdowali wroga,
Aż nas objęto w ciasny krąg łańcucha,
I każą oddać co najprędzej ducha.

Ogromna większość emigracji obecnej nie składa się ze zbiegów ratujących swoje życie i wolność osobistą, ale z ludzi, których magnetyczna siła toczącej się wojny wyciągała z domów w kraju, z więzień i obozów wroga do walczących szeregów. Wszyscy oni mniej lub więcej *są nie uchodźcami z Polski, ale wychodźcami.* Przymusowymi ? Tak, ale o tyle tylko, o ile przymus stwarza pewne praktyczne ramy i ograniczenia w dążeniu do celu. Przymus ten nie wyraża się zresztą jedynie w tym, że nas wróg zmusił do opuszczenia kraju, ale również w tym, że pragnąc walczyć skutecznie o nasz cel sami sobie nakładaliśmy przymus emigracji i obowiązek walki. Jeżeli więc jesteśmy wychodźstwem przymusowym, przymus pod którym działamy jest dwustronny : ten stwarzany przez wroga i ten nakładany przez nas samych.

I dlatego wszelkie ścisłe analogie z Wielką Emigracją muszą być zawodne. Więcej już podobieństwa jest do emigracji Legionów Dąbrowskiego, która zdołała wpłynąć realnie na bieg wydarzeń politycznych w Polsce. Ale i ta analogia nie może być ścisła, gdyż inne przeżywamy czasy i inne przed nami roztaczają się perspektywy, z czego wynikać musi, że nie powinniśmy raz jeszcze przeżywać przeszłości i odgrzebywać w sobie urojonych nieraz jej kompleksów, ale śmiało patrzeć i dążyć w przyszłość.

Przewroty polityczne, społeczne i techniczne, jakie przeżywa świat współczesny, są jeszcze głębsze, niż te z przełomu XVIII i XIX stulecia. Nie wdając się w opisy i porównywania jednych i drugich, powiedzmy tylko tyle, że przy tak radykalnie zmienionych środkach komunikacji i transportu łatwiej jest niż dawniej utrzymywać łączność zarówno duchową jak i materialną między jednostkami i grupami społecznymi znajdującymi się w różnych krajach. Stąd też łatwiej jest utrzymać łączność duchową z narodem w Kraju i łatwiej oprzeć się wynarodowieniu na emigracji.

ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA

Wzmagająca się potęga środków materialnych i technicznych w życiu jednostek i społeczeństw prawem kontrastu wysuwa na pierwszy plan pierwiastki duchowe i moralne. Coraz bardziej widoczne się staje, że przynależność do narodu nie jest jedynie faktem biologicznym — jak twierdzili naziści niemieccy, bądź socjologicznym — jak twierdzą teoretycy marksizmu i leninizmu, ale aktem wolnej świadomości ludzkiej, przyjmującej za swoje dziedzictwo wielu pokoleń danego narodu i jego ideały, ukształtowane w szczególnych warunkach dziejów i zmagań.

Gdybyśmy byli przede wszystkim liberałami, socjalistami, konserwatystami, demokratami w ogóle lub chrześcijańskimi demokratami, a dopiero potem Polakami, kwestia pobytu w obcych krajach przedstawiałaby się dla nas zupełnie inaczej, niż to faktycznie ma miejsce dziś. Polak na emigracji nie przyłącza się do liberałów, czy socjalistów w danym kraju, tracąc związek ze swoim narodem, ale przeciwnie — pozostaje Polakiem, a na drugim miejscu dopiero kładzie międzynarodowe pokrewieństwo poglądów na zagadnienia polityczne i społeczne. Pokrewieństwo takie we wspólnej cywilizacji jest zjawiskiem naturalnym, jasne jednak jest, że nie może ono podporządkować sobie świadomości narodowej, ale przeciwnie samo tej świadomości podporządkowane być powinno. Najczęściej mowa jest tylko o współdziałaniu, nie o podporządkowaniu ; to ostatnie ma miejsce dopiero wtedy, kiedy zachodzi konflikt między świadomością narodową a szczególnym zespołem poglądów właściwych kierunkom filozoficznym i ruchom polityczno-społecznym różnych narodów. Podporządkowanie zaś szczególnej filozofii społecznej wartości wyższej, za jaką uznajemy świadomość narodową, nie stanowi bynajmniej rezygnacji z ideałów powszechnych, ponad-narodowych, na rzecz egoizmu narodowego, gdyż właśnie na samodzielnych twórczych narodach opiera się cywilizacja jako całość. Praktycznie biorąc, gdyby n.p. liberałowie polscy na emigracji uznali, że poglądy liberalne są wartością wyższego rzędu niż świadomość narodowa polska, powinni by wtedy przyłączyć się do ruchu liberalnego angielskiego, a zerwać nić przynależności do grupy narodowej polskiej. Jasne jest jednak, że takie zachowanie się nie byłoby poświęceniem pewnych wartości regionalnych na rzecz wyższych wartości powszechnych, ale przejściem od jednej grupy regionalnej do drugiej. Polak, który by wyżej stawiał filozofię liberalną od świadomości narodowej polskiej, nie mógłby jednak nigdzie, a więc i na obcym gruncie, oderwać się od polskości i stać się "liberałem w ogóle" bez przejścia w praktyce do innej grupy narodowej. Nasza cywilizacja oparta jest na świadomości narodowej, jako na jednym — choć nie jedynym — z głównych swoich filarów.

STRONNICTWO NARODOWE A EMIGRACJA

To świeże spojrzenie na zagadnienie świadomości narodowej pozwala na niedługą dygresję od głównego wątku rozumowania, przeznaczoną szczególnie dla ściślejszego grona czytelników *Myśli Polskiej.* Chodzi mi mianowicie o Stronnictwo Narodowe.

Stronnictwo to sformowane zostało na przełomie wieku XIX i XX jako jeden z wyrazów owej epoki demokratyzacji życia publicznego (nawet pierwsza jego nazwa brzmiała : Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne) i związanej z nią zasady suwerenności narodowej. Zasady te nie uległy dotąd przedawnieniu i nie ulegną, chyba że cywilizacja nasza zostanie zniszczona. Ponad to jednak stronnictwo to stało się wyrazem szczególnego położenia politycznego, w jakim od czasów rozbiorów znalazł się naród polski. Inne narody mogły zastanawiać się nad tą czy inną formą rządu czy porządku społecznego; naród polski myśleć musiał przede wszystkim o zachowaniu swojego istnienia. Zagrożony przez wrogów, którzy od paruset lat starali się wewnątrz niego tworzyć swoje własne stronnictwa i orientacje, naród wyłonił ze siebie jako jeden ze środków samoobrony taki ruch polityczny, jaki nawiązując do podstawowych założeń cywilizacji europejskiej za szczególne zadanie postawił sobie polityczną obronę całości bytu narodowego. Zadanie to staje się jeszcze bardziej aktualne i wyraziste w obecnym okresie, kiedy samo istnienie emigracji jest zarazem świadectwem sytuacji, w jakiej znalazł się naród, a z drugiej strony problem zachowania swojej narodowości w środowisku obcym jeszcze bardziej podkreśla postulat główny.

Postawienie sobie zadania nie jest jeszcze samo przez się tytułem do wywyższania się nad inne ruchy polityczne. Niewątpliwie większość z nich przeszła zwycięsko próbę czasu i realnych potrzeb społecznych. Dopiero realizowanie zadań może dać pierwszeństwo temu czy innemu ruchowi politycznemu na czas dłuższy lub krótszy. O formalnym jednak pierwszeństwie czy uprzywilejowaniu nie może być mowy — nigdy. Ceną postępu i rozwoju jest nieustanna czujność i praca. Z tytułu filozofii politycznej i programu Stronnictwa Narodowego na członków jego i działaczy spada nie żaden przywilej lub ornament wyższości, lecz szczególny obowiązek, tym trudniejszy do wykonania, że przyjęty dobrowolnie.

Rola stronnictw i ruchów politycznych w obecnym położeniu narodu polskiego domaga się zresztą osobnej analizy i oceny; dla potrzeb niniejszego szkicu dygresja powyższa wyjaśnia zagadnienie dostatecznie.

Z celu naszej emigracji, którym jest wywalczenie z powrotem naszemu narodowi niepodległości politycznej i równości z innymi w międzynarodowej społeczności narodów, wynika, że nie powinniśmy dać się na emigracji wynarodowić, gdyż wtedy nie moglibyśmy spełnić swojego zadania. Problem wynarodowienia się na rzecz obcych, zasymilowania się do obcego narodu, jest tym groźniejszy, iż narody naszych gospodarzy do takiej asymilacji otwarcie i oficjalnie nawet dążą. Obrona przed tymi dążeniami jest dlatego trudniejsza niż dawniej w Polsce, że z samej już definicji naszego położenia na emigracji wynika, że jesteśmy nie tylko pod obcym rządem ale i na obcej ziemi. Z drugiej jednak strony wydaje mi się, że obrona ta jest łatwiejsza niż dawniej, a to właśnie na skutek serii przewrotów technicznych i socjalnych, których istoty nie zdołaliśmy jeszcze dostatecznie zgłębić i określić.

ŁĄCZNOŚĆ DUCHOWA

Jedno wydaje się pewne : że skoro przezwyciężone zostały naturalne przeszkody terenowe dzielące narody i jednostki; skoro nie tylko już morze ale i powietrze otwarte zostało dla żeglugi; skoro rozległe przestrzenie lądowe udostępnione zostały udoskonalonym środkom komunikacyjnym — duch i umysł ludzki nie zatrzymają się przed przeszkodami sztucznymi, stwarzanymi przez reżimy dyktatorskie, przez sekty polityczne, ich korpusy bezpieczeństwa i ich straże graniczne. Zniesienie tych przeszkód, stwarzanych nie przez naturę ale przez wynaturzonych ludzi, będzie wymagało więcej może ofiar, niż pokonanie przeszkód naturalnych, ale za to na pewno mniej czasu. Taki już bowiem jest umysł ludzki, że musi dążyć do tego, co wydaje mu się — i w tym wypadku jest — osiągalne.

Nie jest wyłączone, że właśnie te wynalazki techniczne, które tak ułatwiają podróżowanie, rozbudzą jeszcze bardziej w naszej cywilizacji miłość własnej ziemi i własnego kąta. Co to jest *domicilium*, miejsce zamieszkania, — pyta prawnik rzymski. I odpowiada sobie : jest to takie miejsce, po którego opuszczeniu zdajemy sobie sprawę, że nie jesteśmy w domu, że podróżujemy, a przybywszy do niego od razu wiemy, żeśmy podróż skończyli. *Domicilium locus est* — jeśli mnie pamięć z ławy uniwersyteckiej nie zawodzi — *unde si profecti sumus peregrinari videmur et quo si rediimus peregrinari iam destitimus*. I nikt bardziej nie ceniłby sobie dziś własnego kąta w Polsce, niż ten Polak, który podczas obecnej wojny najwięcej krajów odwiedził i miast zobaczył. Tak to fakt emigracji wzmocnić może prawem kontrastu poczucie łączności z własną ojczyzną.

Ułatwione przenoszenie się ludzi z miejsca na miejsce oraz komunikowanie się na duże i bardzo duże odległości sprawia, że ruchliwość jednostek i grup ludzkich wzmoże się jeszcze bardziej niż to było dotąd. W szczególności objęte zostaną tymi nowymi możliwościami kraje lądowe, które pod tym względem były bardzo upośledzone w porównaniu z krajami morskimi. Te ostatnie miały przed sobą świat otwarty od czasu wynalazków ułatwiających żeglugę po otwartym morzu i następujących po nich wielkich odkryć geograficznych; dla tych pierwszych świat otwiera się szeroko dopiero od czasu żeglugi powietrznej, podpartej od dołu rozwiniętymi na ogromną skalę komunikacjami naziemnymi, kolejowymi i szosowymi. Polska w naszych czasach nie tylko staje w szeregu narodów lądowych, przed którymi otwierają się naraz nowe horyzonty, ale zarazem przekształca się w naród częściowo morski.

To wszystko zmusza nas do myślenia nowymi w znacznej mierze kategoriami o istocie narodowości. Jak to już zaznaczyliśmy, wielkie odkrycia w świecie materii i techniki jeszcze silniej uwydatniają potrzebę wartości duchowych. Po ostatnich przewrotach jeszcze bardziej jasne się staje, że naród jest naturalną wspólnotą nie tylko krwi i tego samego pochodzenia, ale tego samego świata wyobrażeń, tradycyj, przeżyć z przeszłości, ideałów na przyszłość. Naród polski nie dlatego należy do szeregu czołowych narodów świata, że gromadzi dużą liczbę ludzi tego samego pochodzenia, ale dlatego, że należy do kategorii narodów historycznych, wywodzących się z jednego wprawdzie głównego pnia plemiennego, ale dopuszczających w ciągu wieków do swojej bliższej wspólnoty, jakby rodziny, także ludzi z innych plemion na zasadzie przyjęcia przez nich tego samego zespołu pojęć i ideałów, tej samej świadomości narodowej. Narodów typu plemiennego jest na świecie wiele, ale narodów wyższego bez wątpienia socjologicznie typu historycznego, sformowanych przez wspólną historię, a więc wspólne przeżycia i wspólne kształtowanie świadomości zbiorowej, — jest na świecie jeszcze nie tak wiele. Te narody historyczne przed innymi tworzą i podtrzymują cywilizację. Mogą to czynić wszystkie, ale narody, oparte wyłącznie na pierwiastku biologicznym i nie wznoszące się świadomością ponad determinizm przyrodniczy, zazwyczaj bardziej są skłonne do niszczenia cywilizacji niż do jej tworzenia i pomnażania.

W tych nowych warunkach t.zw. środowiska, więzy duchowe łączące człowieka ze światem jego pojęć i wyobrażeń nabierają nowego znaczenia. Może dojść do tego, że jak we wczesnym średniowieczu, w stuleciach bezpośrednio następujących po wędrówce narodów, znowu ważna się stanie zasada, że *das Recht folgt dem Mann*, a nie że *der Mann folgt dem Rechte*, — że prawo będzie szło za człowiekiem, tam gdzie on powędruje, a nie żeby człowiek wiązany był jakby mechanicznie prawem miejsca swego pobytu. Naturalnie w analogii tej nie chodzi bynajmniej o zwyczajne przepisy prawne i porządkowe, ale o wyższe kategorie prawne, o status człowieka. Możliwy jest do wyobrażenia sobie taki porządek, w którym człowiek podlegałby swojemu dobrowolnie przyjętemu statusowi narodowemu bez względu na miejsce pobytu.

W każdym razie dożyliśmy czasów, w których znaczna część narodu polskiego żyje poza Polską. Nawet po zakończeniu obecnego okresu obcej interwencji w Polsce nie cała emigracja powróci do Polski, a zmieniona technika stosunków i różnego rodzaju obrotów międzynarodowych może spowodować zasilanie tej emigracji nowymi przybyszami z Polski. Naród nasz jeszcze bardziej niż dotąd zwrócić musi uwagę na więzy duchowe łączące wszystkich jego członków.

Natura tych więzów jest taka, iż pozwalają one unikać konfliktu z narodami, na których terytorium przebywa emigracja i których prawa powinny być szanowane. Skoro bowiem są to narody opierające swe życie o zasadę wolności osobistej i autonomii duchowej człowieka nie mogą one mieć nic przeciw temu, żebyśmy przez czas jakiś, jako emigranci polityczni, utrzymali swoją wewnętrzną autonomię duchową, respektując równocześnie jak najskrupulatniej ich prawa, zwyczaje i dążności narodowe. Jeśli zaś idzie o przyszłość tego nowego rodzaju nowych stosunków międzynarodowych, jaką nam niosą wynalazki techniczne i przewroty socjalne, to nowe potrzeby przyniosą nowe rozwiązania. Nie mamy się co martwić o to, co nas jeszcze nie boli.

ORGANIZACJA, A NIE REPREZENTACJA

Musimy jednak przewidzieć, że oficjalnej aprobaty naszych dążeń narodowych na emigracji nie uzyskamy od gospodarzy w żadnym kraju. I dlatego ten, kto się wybiera reprezentować tylko emigrację wobec rządów miejscowych, popełnia gruby błąd. Emigracja może natomiast mieć organizację własną, organizację samopomocy moralnej i materialnej, tworzoną zgodnie z prawami danego kraju pobytu, których zresztą nie należy identyfikować z polityką rządów. Autonomia emigracji będzie autonomią wynikającą ściśle z rozległej sfery wolności osobistej, pozostawionej jednostce przez konstytucje państw, w których przebywamy. Z tego właśnie powodu nie jest do pomyślenia emigracja polityczna do krajów despotycznych i dyktatorskich. Autonomia jednostki w krajach demokratycznych nie jest naturalnie bez granic. Zakreślane są one przez prawa porządku publicznego. W każdym razie jest to autonomia dość szeroka, by nam pozostawić duży margines na twórczość duchową, samodzielność gospodarczą, niezależność poglądów i skuteczne przez to przygotowanie się do spełnienia naszych zadań w odpowiednim miejscu i czasie.

MARIAN EMIL ROJEK

NOWA BITWA O NIEMCY

UWAGI O POLITYCE NIEMIECKIEJ W PRZEDEDNIU KONFERENCJI MOSKIEWSKIEJ

W DNIU 10 marca zaczęły się w Moskwie obrady ministrów spraw zagranicznych W. Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rosji i Francji, poświęcone ustaleniu zasad przyszłego traktatu pokoju z Niemcami. Problemy zasadnicze jak granice Niemiec, ich ustrój polityczny i gospodarczy, rozbrojenie, kontrola produkcji, odszkodowania i t.p. wymagają poprzedniego omówienia i uzgodnienia, zanim przystąpi się do formułowania poszczególnych postanowień przyszłego traktatu. Nie należy się łudzić co do tego, by znalezienie wspólnej platformy porozumienia było rzeczą łatwą i szybką do osiągnięcia. Wstępne próby podjęte w ciągu stycznia i lutego na terenie Londynu nie wskazują na to, by szanse osiągnięcia pozytywnych rezultatów w Moskwie były wielkie. Na duże trudności napotkać może na samym wstępie porozumienie w sprawach proceduralnych, nad uzgodnieniem których, zdaje się że całkowicie bezskutecznie, głowili się zastępcy ministrów w Londynie. Zarówno sprawa stopnia udziału t.zw. małych państw w pracach nad przygotowaniem traktatu jak również forma jego i sposób zaakceptowania go przez Niemcy mają pozornie tylko charakter formalny, w rzeczywistości bowiem dotyczą meritum stosunku Rosji i Anglosasów do Niemiec i do przyszłej organizacji pokoju. Trudno przeto będzie pokonać trudności proceduralne, dopóki nie nastąpi porozumienie w sprawach zasadniczych, przede wszystkim w sprawach granic i ustroju Niemiec, ich struktury gospodarczej i roli wyznaczonej im w przyszłej organizacji Europy.

Jednym z zasadniczych problemów, odnośnie do których już na konferencji londyńskiej zarysowała się zasadnicza różnica zdań, jest sprawa przyszłego ustroju Niemiec. Chodzi o to, czy nowe Niemcy mają być państwem jednolitym, rządzonym centralistycznie, czy też unią mniej lub bardziej luźnie ze sobą związanych krajów niemieckich.

Rosja i jej satelici, wśród nich i obecny rząd warszawski, wypowiedzieli się za likwidacją Prus i jednością Niemiec, uzasadniając stanowisko to pełniejszą i skuteczniejszą kontrolą, jaka może być przez aliantów roztoczona nad jednolicie zorganizowanym państwem, aniżeli nad zdecentralizowanym związkiem. Dowodzi się również, że narzucenie narodowi niemieckiemu formy federacyjnej, obcej jego wszechniemieckiej mentalności, napotka na nieprzezwyciężalne trudności. "Pangermańskie idee zjednoczenia — powiedział p. Wierbłowski, delegat t.zw. rządu warszawskiego na konferencję londyńską w wywiadzie udzielonym w dniu 9 lutego b.r. francuskiemu pismu *Le Monde* — są tak silne, że w razie ich naruszenia przeciwdziałałyby wszelkim próbom demokratyzacji oraz reedukacji społeczeństwa". W tym sformułowaniu tkwi bodaj tajemnica unitarnego stanowiska Rosji. Chodzi jej właśnie o "demokratyzację i reedukację" społeczeństwa niemieckiego, oczywiście we wschodniej interpretacji tych pojęć. Jednolite Niemcy są Rosji potrzebne dla łatwiejszego i szybszego skomunizowania życia niemieckiego.

Całkowicie odmienne stanowisko w sprawie ustroju zajmuje Francja, która swój punkt widzenia sformułowała w memorandum, złożonym konferencji londyńskiej. Według jej projektu Niemcy miałyby mieć charakter "Związku Państw" (*confederation*), w którym każde "państwo" byłoby suwerenne, uchwalało własną konstytucję, posiadało własne przedstawicielstwa zagraniczne. Organizacja Związku Państw Niemieckich różni się w projekcie francuskim zasadniczo od Rzeszy bismarckowskiej, czy Republiki Wejmarskiej, których struktura opierała się o ogólno-niemiecki parlament, powołany drogą powszechnych wyborów, nadrzędną rolę Prus i szerokie uprawnienia kanclerza Rzeszy. Projekt obecny nie przewiduje parlamentu. Miejsce jego miałaby zająć "Izba Krajów", do której poszczególne rządy krajów delegują przedstawicieli za zgodą swoich sejmów krajowych. Izba wybierałaby corocznie prezydenta związkowego, kierującego rządem związkowym. Rząd dzieli się na siedem ministerstw. Kompetencji jego podlegają tylko sprawy gospodarcze, finanse, aprowizacja, transport, poczta i telegraf, rolnictwo oraz w ograniczonym stopniu sprawy zagraniczne. Nie byłoby ani ogólnoniemieckiej armii, ani niemieckiego sztabu generalnego, ani ogólno-niemieckiej policji. Każdy kraj posiadałby własną policję. Siedzibą rządu związkowego nie byłby Berlin, lecz inne miasto niemieckie; podobno bierze się pod uwagę Frankfurt nad M.

Projekt francuski wysuwa formę ustrojową nieco zbliżoną do organizacji Niemiec przedbismarckowskich, do t.zw. *Deutscher Bund*, z tą jednak zasadniczą różnicą, że projekt obecny przewiduje wspólną egzekutywę, której dawny Związek Niemiecki nie posiadał.

Ameryka — podobnie zresztą jak W. Brytania — nie ogłosiła dotychczas szczegółów swoich poglądów na przyszłą organizację Niemiec. Tendencje amerykańskie dadzą się jednak odtworzyć z praktycznych posunięć amerykańskiego zarządu wojskowego na terenie jego strefy.

Od przeszło roku realizują Amerykanie w swojej zonie pewien program budowy nowej federacji niemieckiej od dołu. Strefę swoją podzielili na trzy "kraje": Bawaria, Wirtembergia-Badenia, Wielka Hesja. Granice tych krajów są nienaturalne i przypadkowe, co spowodowane zostało przypadkowością w wyznaczaniu poszczególnych stref okupacyjnych. Szczególnie jaskrawo da się to zauważyć na przykładzie Wirtembergii-Badenii, która obejmuje tylko północne części dawnych krajów o tej nazwie, gdyż południowe ich objęte są okupacją francuską.

Z początkiem roku ub. odbyły się w krajach tych wybory do parlamentów krajowych, które pod auspicjami amerykańskich władz okupacyjnych uchwaliły konstytucje krajowe. Konstytucje te poddane zostały w jesieni r. ub. referendum ludowemu i zatwierdzone przez amerykańskiego gubernatora wojskowego. Konstytucje te traktują każdy z krajów jako członka przyszłej ogólno-niemieckiej republiki federacyjnej. Najbardziej unitarne tendencje wykazuje ustawa konstytucyjna Wielkiej Hesji, najbardziej separatystyczne ustawa bawarska. W tej ostatniej istnieje nawet odrębne obywatelstwo bawarskie. Pewne koła dążyły nawet do ustanowienia osobnego prezydenta republiki bawarskiej. Wniosek taki ostatecznie przepadł, jakkolwiek bardzo niewielką ilością głosów. Postanowienie dotyczące przynależności Bawarii do przyszłej republiki ogólno-niemieckiej ujęte jest w ten sposób, że budzić może wątpliwości co do tego, czy istnieje obowiązek czy tylko prawo przystąpienia, prawo, z którego ewentualnie można by nie korzystać. Celem usunięcia w przyszłości ewentualnych nieporozumień gen. Clay zatwierdzając konstytucję zastrzegł, że przepis ten interpretowany być winien w duchu obowiązku przynależenia do republiki ogólno-niemieckiej, dając tym samym wyraz poglądom polityki amerykańskiej, dążącej do odbudowy państwowości niemieckiej w formie jednego państwa, zorganizowanego na zasadach federacyjnych. Także b. minister Byrnes mówił w Sztutgarcie o Stanach Zjednoczonych Niemiec.

W jesieni r. ub. odbyły się w krajach strefy amerykańskiej ponowne wybory sejmowe, które w Wielkiej Hesji dały większość socjal-demokratyczną, w pozostałych dwóch krajach większość chrześcijańsko-demokratyczną. Sejmy te wyłoniły rządy krajowe zatwierdzone przez amerykańskiego gubernatora wojskowego. W skład rządów wchodzą przedstawiciele wszystkich partii reprezentowanych w sejmie. Partia najliczniejsza obsadziła najbardziej kluczowe resorty. (W sejmie bawarskim nie są reprezentowani komuniści, nie mają przeto swoich przedstawicieli w rządzie.)

Wielka Brytania dąży także do federacyjnego rozwiązania ustroju niemieckiego. Min. Bevin oświadczył w Parlamencie brytyjskim w dniu 27 lutego b. r., że Niemcy winny być federacyjne i zdecentralizowane. Właściwa władza winna spoczywać w rękach rządów krajowych, a tylko ściśle określone dziedziny miałyby podlegać rządowi centralnemu.

Stanowisko to nie znalazło jeszcze dostatecznie praktycznego wyrazu w polityce okupacyjnej strefy brytyjskiej. Dopiero ostatnio utworzono w zonie tej trzy kraje: Nadrenia-Westfalia, Dolne Sasy (Hanower), Szlezwik-Holsztyn oraz dwa wolne miasta: Hamburg i Bremę. Ścisłe granice nie wszędzie zostały ustalone. Na wiosnę b. r. zapowiedziane są wybory do sejmów krajowych, na które spadnie zadanie uchwalenia konstytucji.

Cała dotychczasowa praca nad budową federacyjnych Niemiec posiada tę zasadniczą wadę, że prowadzona jest niejednolicie i w sposób nieskoordynowany. Jak już wspomnieliśmy, granice poszczególnych stref okupacyjnych, a w wyniku tego również poszczególnych krajów są przypadkowe. Wobec braku istotnego porozumienia pomiędzy okupantami Niemiec każde z państw próbowało realizować politykę, odpowiadającą jego partykularnym interesom, a częstokroć dojrzałego poglądu na przyszłość Niemiec w ogóle nie posiadało.

Zorganizowanie Niemiec na nowych podstawach ustrojowych wymaga zasadniczego uzgodnienia tez wszystkich czterech państw, szczególnie jednak wschodu i zachodu. Dopóki tego uzgodnienia zarówno w sprawach ustrojowych jak i w całości problemów niemieckich nie będzie, wszelka polityka w stosunku do Niemiec nie osiągnie zamierzonego celu, a wytworzy tylko dla Niemców warunki zachęcające do lawirowania i wygrywania współzawodniczących ze sobą okupantów. Nie potrzebujemy dodawać, z jakim utęsknieniem i nietajoną nadzieją Niemcy na taką sytuację czekają i jakie skutki taki stan rzeczy za sobą pociągnie, jeśli przynajmniej po stronie mocarstw zachodnich nie będzie wyraźnego porozumienia i woli zdecydowanego postępo-

wania w stosunku do Niemiec. Niedawno temu przestrzegał przed niedocenianiem tego niebezpieczeństwa prof. F. W. Foerster w rewelacyjnym artykule swoim p.t. "Ostrzeżenie przed iluzjami w kwestii niemieckiej".

Bezpośrednio po kapitulacji w roku 1945 niejednym wydawać się mogło, że załamanie narodu niemieckiego jest tak wielkie i tak powszechne, że rozmiary klęski i popełnionych zbrodni wywołują w duszy niemieckiej tak głębokie przeobrażenia, iż naród ten uzna, że zbłądził, i że zechce przeto zejść z drogi zła i występku, po której kroczył od lat stu. Dziś, niecałe dwa lata po klęsce, nie można już mieć wątpliwości co do postawy Niemców. Wszyscy nieomal bez wyjątku Niemcy odrzucają tezę zbiorowej winy narodu niemieckiego, wszyscy, t. zn. nacjonaliści i centrowcy, socjal-demokraci i komuniści, nie brak nawet książąt Kościoła Katolickiego. Arcybiskup Kolonii, kardynał J. Frings wypowiedział się w tegorocznym kazaniu noworocznym w sposób zdecydowany przeciwko tezie o winie i odpowiedzialności zbiorowej narodu niemieckiego, piętnował wysiedlanie ludności niemieckiej z Polski i apelował do zwycięzców o naprawienie krzywdy, wyrządzonej Niemcom. Jedyny może wyjątek w tej hypernacjonalistycznej postawie społeczeństwa niemieckiego stanowi, wielki zresztą nacjonalista, długoletni więzień obozów koncentracyjnych, pastor Niemoeller, który w przemówieniach wygłaszanych w czasie niedawnego pobytu w Anglii i obecnie w Ameryce miał odwagę przyznać: "Winien jest cały naród, ja także ponoszę winę, wszyscy musimy ponosić konsekwencje". Przyznaje winę tę również cytowany poprzednio prof. F. W. Foerster, odsłaniając bezlitośnie niechrześcijańskie i zbrodnicze instynkty, które opanowały naród niemiecki. Miarą jednak odosobnienia tych nielicznych Niemców przyznających winę narodu niemieckiego mogą być ataki pełne furii, z jakimi spotkał się artykuł sędziwego herolda pacyfizmu niemieckiego.

Wśród głosów, potępiających artykuł Foerstera, znaleźli się profesorowie uniwersytetów niemieckich, znani przeciwnicy reżimu hitlerowskiego, długoletni więźniowie obozów, znani ideologowie niemieckiego socjalizmu i ruchu wolnomyślnego.

Czy należy się wobec tego dziwić, że przy tego rodzaju mentalności społeczeństwa niemieckiego wszyscy przywódcy polityczni dzisiejszych Niemiec nie tylko nie zdradzają najmniejszych oznak przejęcia na barki swoje ciężaru narzuconych im warunków pokojowych, ale coraz śmielej i butniej ostrzegają zwycięzców przed obarczaniem niemieckiego narodu zbyt surowym traktatem, który rzekomo wywołać musi nieobliczalne reakcje i skutki?

Całe ostrze polityki tej, zdradzającej znamiona wszechstronnie zorganizowanej akcji oporu, koncentruje się dookoła granicy polsko-niemieckiej, upatrując, nie bez słuszności, w utracie ziem wschodnich jedną z głównych przeszkód do odbudowy dawnej potęgi niemieckiej. Ziemie te były bowiem ważnym ośrodkiem niemieckiego przemysłu wojennego, były niewyczerpanym rezerwuarem sił roboczych, najpłodniejszym aktywem niemieckiego bilansu biologicznego, wreszcie — szczególnie Prusy Wschodnie — ostoją militaryzmu i pruskiej biurokracji, ośrodkiem natchnienia reakcyjnego i wojennego.

Od dłuższego już czasu współzawodniczą ze sobą przywódcy polityczni Niemiec w formowaniu coraz to wyraźniejszych i coraz to głośniej wypowiadanych postulatów utrzymania przedwojennych granic z Polską. W zgodnym chórze protestów nie brak Chrześcijańskiej Demokracji, której przewodniczący Jakób Kaiser powiedział: "Gdyby granice te miały być definitywne, to byłby to grzech przeciw naturze, który musiałby się srodze zemścić". Nie brak wśród tak zdecydowanie nacjonalistycznych wystąpień, przypominających najlepsze czasy Stresemanna, Schachta, Brueninga czy Treviranusa, i komunistów niemieckich, których czołowy działacz berliński Grotewohl, mimo stanowiska Mołotowa powiedział: "Mołotow prowadzi rosyjską politykę zagraniczną, lecz nasz punkt widzenia musi wynikać z niemieckich interesów".

Na czoło zgodnego chóru współczesnych rewizjonistów niemieckich wysuwa się przywódca Social-Demokracji, Prusak — rodem z Chełmna na Pomorzu—, były oficer pruski, nowy "wódz" narodu niemieckiego dr. Kurt Schumacher. On najgłośniej, najodważniej, najbardziej bezwzględnie zapowiada walkę "o każdy kilometr kwadratowy na wschód od prowizorycznej granicy na wschodzie".

Niemieckim politykom w kraju wtórują rodacy poza granicami Niemiec. Były kanclerz centrowy Wirth w Szwajcarii żąda "sprawiedliwości i pokoju negocjowanego z Niemcami", podobnie jak z Francją w roku 1815, a byli posłowie Reichstagu, przebywający obecnie w Ameryce, złożyli w Departamencie Stanu memoriał, domagający się granic traktatu wersalskiego dla Niemiec.

W parze z nieustępliwością na punkcie granic idzie ostatnio akcja "grożenia", że żaden niemiecki mąż stanu, żaden polityk nie podpisze nigdy traktatu pokoju przewidującego granice Polski na linii Odra-Nisa Łużycka. Grozi Schumacher, grozi przewodniczący C.D.U. w strefie brytyjskiej dr. Adenauer, grozi premier rządu w Szlezwiku-Holsztynie — Steltzer, który powiedział: "Alianci nie znajdą takiego męża stanu, który by umieścił podpis swój pod tego rodzaju dokumentem". W połowie lutego odbyło się w Wiesbadenie "prywatne" spotkanie premierów ośmiu krajów niemieckich strefy brytyjskiej i amerykańskiej, na którym postanowiono nie brać udziału w obradach moskiewskich na wypadek, gdyby tego rodzaju zaproszenie zostało do nich skierowane. Niemieckim mężom stanu "winno być zaoszczędzone — donosi *United Press* w sprawozdaniu z konferencji — podpisanie upokarzającego traktatu".

Przykładów tego rodzaju objawów rewizjonistycznych i nieustępliwości przytoczyć można by znacznie więcej. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy, a przynajmniej znaczny i najbardziej wpływowy odłam wśród nich, dążą już dzisiaj i dążyć będą w przyszłości do szybkiej odbudowy dawnej potęgi niemieckiej. Dzisiejszy chaos w Europie, niepewność sytuacji, pogłębiające się coraz bardziej różnice pomiędzy wczorajszymi aliantami budzą wśród Niemców nadzieje na wytworzenie się sytuacji, która pozwoli im na "odegranie się" i zajęcie ponownie roli czynnika dominującego w Europie.

Od wielkich mocarstw zależy, czy nadzieje te okażą się płonne czy też uzasadnione. "Kto by próbował rozwiązania problemu rosyjskiego przy pomocy niemieckiego potencjału wojennego, zginie marnie" — przestrzega prof. Foerster. Oby ostrzeżenie jego nie pozostało głosem wołającego na puszczy!

Wszystkie dotychczas praktykowane czy zamierzone sposoby unieszkodliwienia Niemiec, jak kontrola, rozbrojenie, reedukacja i t.p. prędzej czy później okażą się zawodne, zwłaszcza w rzeczywistości, która nie wskazuje na zgodną współpracę dotychczasowych aliantów, przynajmniej na dłuższą metę. Istotne jedynie znaczenie, praktycznie uniemożliwiające przygotowania nowej wojny, posiadać będą klauzule graniczne. Bez ziem wschodnich, bez Zagłębia Saary i bez dyspozycji Zagłębiem Ruhry Niemcy nie będą zdolne do rewanżu i do nowej wojny. Interes Polski i pokój Europy wymaga, aby tym podstawowym żądaniom terytorialnym uczyniono zadość.

J.C.

APEL

Komitet zbiórki na potrzeby dziecka i młodzieży na Ziemiach Odzyskanych nadesłał do redakcji naszego pisma apel, którego główne myśli przekazujemy poniżej wszystkim Czytelnikom *Myśli Polskiej*.

Kraj nasz znajduje się w niezwykle ciężkim położeniu i stoi wobec najtrudniejszych zadań. Jeśli wyjątkowo ostra zima w tym roku dała się nawet na Zachodzie tak dotkliwie odczuć, to jak niepomiernie cięższa być musi dla bezdomnych w Polsce, dla tych, którzy zostali przerzuceni z własnej zagrody rodzinnej do nowych, ogołoconych i nieurządzonych siedzib.

Zaradzenie temu nie leży w granicach naszych, emigracyjnych możliwości. Wiemy dobrze, że znaczna wśród nas większość boryka się z trudnościami materialnej natury. Wiemy też, że wielu z nas pamięta o potrzebach rodzin i przyjaciół w Kraju.

Ale na tym poprzestać nie wolno! Musimy zdobyć się na akt solidarności ze społeczeństwem w Kraju, skupiając wysiłek na najpilniejszym obecnie odcinku narodowych potrzeb. Odcinek ten — to ziemie odzyskane na zachodzie i północy, które Naród Polski zbiorową pracą zaludnia i zagospodarowuje, działając na rzecz trwałego ich z Polską związania. Każde podtrzymanie żywiołu polskiego na ziemiach odzyskanych odczute będzie w Kraju i ocenione podwójnie.

Wysiłek swój poświęćmy przede wszystkim dzieciom i młodzieży, które decydują o przyszłości Kraju. Ich położenie na tych ziemiach jest szczególnie trudne.

Fundusze na ten cel zebrane będą przekazane w postaci towarów jak odzież, bielizna osobista i pościelowa, obuwie, pożywki, lekarstwa, książki, pomoce szkolne, warsztaty i t.p. na ręce i do dyspozycji J. Em. Księcia Metropolity Krakowskiego Kardynała Sapiehy, którego autorytet osobisty i rola charytatywna predestynują tak w oczych Kraju jak emigracji do kierownictwa akcją pomocy, opartą na zaufaniu całego społeczeństwa.

Komitet zbiórki, występując z powyższym apelem, ufa w ofiarność poszczególnych jednostek jak również instytucji polskich w ich trosce o Kraj i w pełnej solidarności z Narodem.

Datki pieniężne należy wpłacać do *A.P.C.A. Relief Fund* (*Registered under the War Charities Act* 1940) na konto "*The National Bank Ltd*; *Charing Cross Branch*, 15, *Whitehall, London, S.W.*1, *A.P.C.A.* No. 2 *Account*," lub też za pośrednictwem pism polskich.

Dary w naturze uprasza się przesyłać do *A.P.C.A. Relief Depot*, 46 *Egerton Gardens, London, S.W.*3.

W obu wypadkach należy wyraźnie zaznaczyć przeznaczenie: **"Na dzieci i młodzież na Ziemiach Odzyskanych"** i podać dokładnie adres ofiarodawcy. Sekretariat Komitetu Zbiórki jest czynny w dnie powszednie od g. 10 do 13 pod adresem: 13 Cornwall Gardens, London, S.W.7, tel. WEStern 1920.

Odezwę podpisała przewodnicząca Komitetu Zbiórki, p.Helena Sikorska.

WIKTOR TROŚCIANKO

W WALCE

LATA walki... Urywa się to zdanie długim, ciężkim zamyśleniem. Nie można bowiem w sposób zdecydowany zaklasyfikować niniejszych uwag. Zbyt są żywe, zbyt jeszcze we krwi pulsujące, by miały nosić charakter historycznego przyczynka — owe lata do dziś nieskończone. Wielki ich cel jest nadal jakże trudnym i pochłaniającym dalsze ofiary postulatem walczącego narodu. W chaosie odwracanych pojęć —nadal trwa rozpaczliwa walka o nieodwracalność tysiącletniej wartości, zwącej się Polską i sprecyzowanego dwoma tysiącami lat ideału sprawiedliwości.

Dwa te cele są i będą nadal najsilniejszymi biegunami pola magnetycznego, w obrębie którego znajduje się wszystko, co jeszcze uczciwe, co mimo zrozumiałych różnic pozostaje w jednym obozie.

Rozważań na temat wojennych lat pracy i wszystkiego, co się z nią łączyło, nie traktuję pamiętnikarsko. O wielu bardzo istotnych, nieraz głównych, składnikach tej pracy, o jej autorach — mówić wciąż jeszcze nie czas. Walka bowiem trwa. Można tylko i należy przedstawić szczególne cele, jakie miała do spełnienia w określonym czasie ta część opinii polskiej, której naczelnym organem w ciągu lat wojny była "Walka". Można i należy rzucić światło na najpiękniejsze zdarzenia tej pracy, na jej ludzi oddanych wielkiemu celowi do końca, do ostatniego tchu. Resztę odkrywa nieubłagany, konsekwentny czas. Bo ta właśnie reszta jest dalszym ciągiem wysiłków o zrealizowanie nieosiągniętych celów.

*

Walkę objąłem w maju 1942 roku w Katedrze św. Jana w Warszawie. Tam bowiem, w lewej nawie kościoła miałem wyznaczone spotkanie z ówczesnym redaktorem pisma i szefem Centralnego Wydziału Propagandy Stronnictwa Narodowego — Janem Bajkowskim. Był to drugi, po rozstrzelanym Stanisławie Piaseckim kierownik zespołu. Przyszedł do pracy po bardzo bolesnym ciosie 1940 roku, po następnych wydarzeniach, których rezultatem było tragiczne zlikwidowanie zakładów wydawniczych "Walki" na Czerniakowie. W akcji obronnej poległ tam kierownik techniczny drukarni Ryszard Szczęsny i dotychczas nieznana mi z nazwiska łączniczka Genula. Najdotkliwszym jednak ciosem było uwięzienie pierwszego szefa zespołu, pierwszego redaktora *Walki* Stanisława Piaseckiego. Był to bardzo ciężki okres początków konspiracji, kosztowny czas doświadczeń, inicjatywy, pomysłowości, a przy tym wciąż poświęcenia i odwagi. Wiele późniejszych prac było już jak gdyby niedyskutowaną koniecznością, szły same, prawem rozpędu. Na początku jednak musiała być wielka determinacja, musiała być wiara. Wiara ponad wszystko, ponad fakty każdego dnia, przynoszącego sukcesy Niemcom i bezkarność w terroryzowaniu przez sowieckiego okupanta drugiej połowy Polski. Z tą samą wiarą lotnik polski z Wysp Brytyjskich i marynarz na pokładzie okrętu Rzeczypospolitej atakowali potężnego wówczas nieprzyjaciela, ta sama gwiazda prowadziła po zimowych niebach wędrowców zielonych granic, dążących ze wszystkich stron świata do Francji. Nie wstydźmy się koniecznego w działaniu o takiej skali — skali zadań i czasu — mistycyzmu. Była to naprawdę wiara mistyczna, nadprzyrodzona, wybiegająca przed i ponad obliczenia, działająca nieraz niestety wbrew tym obliczeniom ; wiara ulicy, wyrażającej swe codzienne credo na linii totalnej walki, na froncie kina, teatru ("Tylko świnie siedzą w kinie . . . "), propagandy wroga (szmata, szczekaczka), chleba (wyczyny szmuglerów), wiara, której towarzyszyło zaciśnięcie zębów bez słowa po każdej stracie. Płomień ten równym blaskiem palił się po obu stronach granicy Ribbentrop-Mołotow, oświecał ludzi w podziemiu, w domu, na ulicy, w kościołach wreszcie, gdzie na nabożeństwach grupowały się niespotykane przed wojną tłumy.

Taki potencjał poświęcenia i taki kamienny opór, naprawdę bez przykładu w Europie — był wynikiem powszechnego przeświadczenia o świętych, nadprzyrodzonych celach tej wojny, o całkowitej zgodności spraw narodowych z zasadniczymi postulatami świata i naszej cywilizacji. Z terenów Polski bił ten płomień ponad walczące fronty, otrzymał nazwę "natchnienia narodów". Faktem jest, że prawdę ubiegłej wojny zdefiniowały wydarzenia, przebiegające przez samo centrum Polski, w miejscu, gdzie zbiegły się i skumulowały dwie największe siły zniszczenia, podające sobie rękę poprzez linię — znaną dziś także pod nazwą linii Curzona.

Z perspektywy dzisiejszej słuszne jest i konieczne twarde spojrzenie na stopień emocjonalny naszej podziemnej wojny, na stan zaangażowania się wszystkich żywotnych sił narodu. Tym bardziej jest to spojrzenie konieczne im dalszy jest wynik dzisiejszy od tego, czego wówczas oczekiwano. Są wszakże pewne normy ówczesnego działania, które zmieszczą się także w najbardziej zimnym rachunku, w najtwardszej ocenie. Pierwszą z nich jest samorzutne włączenie się polskich celów wojny w hierarchię najwyższych dóbr ludzkich, tak bez pokrycia precyzowanych w czterech wolnościach prezydenta Roosevelta. Kwestia tych dóbr była sprawą, która musiała obchodzić każdego, która nie pozwalała nikomu być obojętnym i neutralnym, która każdego mobilizowała.

Była więc *Walka* i cały jej zespół w integralnej łączności z programem i założeniami ruchu politycznego. który od dziesiątków lat opierał nowoczesną politykę narodową na najtrwalszych podstawach, jakie dają dogmat i etyka katolicka. To fundamentalna spójnia i najważniejszy rys charakterystyczny pierwszego organizatora pracy podziemnej, przedwojennego redaktora *Prosto z mostu*, Stanisława Piaseckiego. Przyszli z nim za tymi najważniejszymi hasłami katolicyzmu oraz idei narodowej jego najbliżsi sprzed września koledzy : Mosdorf, Bajkowski, Mikułowski i — kolejno odchodzili, padając na swych odcinkach walki. Więź ta — najgłębszej religijnej natury, powiązania pracy politycznej i wojskowej z filozofią i etyką — dominuje nad całym okresem pracy. Daje Piaseckiemu stalowe nerwy podczas śledztwa Gestapo, towarzyszy jego ostatnim z więzienia listom (grypsom), otacza każdy dzień pracy Bajkowskiego, rozpoczynanej krótką modlitwą w kościele, stanowi wielki dramat śmierci Mikułowskiego, który kiedyś powiedział mi, że czuje się o wiele spokojniejszy, po ustaleniu, że odebranie sobie życia dla ratowania przyjaciół i pracy nie jest grzechem samobójstwa. Mikułowski tak właśnie zginął — na Pawiaku.

Nie było więc chyba przypadkiem, że zmiana posterunku na odcinku *Walki* dokonała się w kościele, w tym kościele, do którego na linii frontu jako jawne codzienne pismo powstańcze docierała aż do ostatnich dni Starego Miasta, aż do chwili, kiedy padła Katedra razem z wieloma jej obrońcami. Nie jest przypadkiem także, że wśród nich do końca byli i najuparciej tych pozycji bronili żołnierze Narodowej Organizacji Wojskowej, kompanie batalionu "Gustaw", że wreszcie pod murami Katedry świętojańskiej padła jedna z najodważniejszych kolporterek *Walki* pierwszej linii frontu — łączniczka Hanka, kawaler Krzyża Walecznych.

*

— Obejmiecie *Walkę*.

Objąłem w maju 1942 roku. Ze wszystkimi jej kłopotami organizacyjnymi, technicznymi, ale z pozbieranym już na nowo doskonałym zespołem ludzi — od zecerów i drukarzy poprzez stale rozszerzający się zespół redakcyjny. Całością pracy informacyjno-prasowej kierował do lipca 1942 r. Jan Bajkowski. Od lipca tego roku prowadził już ogólną robotę Centralnego Wydziału Propagandy Stronnictwa Narodowego i kierował pracami V-go Oddziału Komendy Głównej N.O.W. Obowiązki kierowania prasą spadły na mnie. Oczywiście korzystałem z doświadczeń i pomocy najmilszego szefa, kolegi i przyjaciela — Janka, oraz Andrzeja Mikułowskiego.

Trudny to był okres. Trwająca właśnie wojna sowiecko-niemiecka wprowadziła zamieszanie pojęć w zgodnym dotychczas obozie alianckim z jednej strony i anty-europejskim z drugiej strony. Szczególnie zaś polityka polska, a więc cała polska wojna zarówno w kraju, jak za granicą, stanęła przed nowymi problemami. Był to okres, kiedy kraj oczekiwał wyraźnych i koniecznych posunięć jawnej polityki Rządu Rzeczpospolitej, z drugiej zaś strony walczące społeczeństwo miało wolę, prawo i obowiązek wywarcia wpływu na decyzje swojego rządu w stopniu odpowiadającym elementarnym chociażby celom naszej wojny. Było więc lato 1942 roku dla rozwoju wydarzeń polskich szczególnie ważne. Po raz pierwszy, w sposób długo przemyślany, do podziemnego życia kraju wkroczyła czynnie polityka Rosji Sowieckiej, otrząsającej się właśnie z długiej serii katastrof frontowych i przygotowującej swą wielką ofensywę polityczną, mającą na celu owładnięcie jeśli nie całą Europą, to kluczowymi jej pozycjami. Do najważniejszych wśród nich oczywiście należała Polska, mająca naówczas w świecie głośne i dobre imię.

Z bolesną uwagą natężaliśmy słuch w kierunku Londynu. Z coraz większą troską odbieraliśmy depesze, wypowiedzi odpowiedzialnych ministrów ówczesnego rządu polskiego. Niezbyt długiego okresu trzeba było na to, żeby troska przybrała na sile, żeby wyrosła do przewidywań wielkiego dramatu. Widać było, że wysiłkowi kraju, jego postawie zdecydowanej w obronie tych zasad, o które Polska stanęła do nierównej rozprawy, nie odpowiada wysiłek gabinetów politycznych zwłaszcza gabinetu premiera Mikołajczyka. Kraj wyraźnie domagał się obrony całości terytorialnej Polski, należnych Polsce satysfakcji historycznych, wymierzenia sprawiedliwości agresorowi niemieckiemu. Żądania kraju, nazywane w pewnych kołach Londynu maksymalnymi, przyjmowane były z zakłopotaniem ze strony rządu. Zbyt wiele było widocznych elementów gry politycznej, zbyt gorliwa zabiegliwość o przesądzanie układu sił wewnętrznych na korzyść jednej tylko



grupy. Analiza tego okresu nie jest celem niniejszych uwag — są to rzeczy zbyt dobrze tutaj znane. Muszę jednak o nie potrącić, przedstawiając walkę o cele polityczne Polski, walkę, w której ruch narodowy brał udział od początku do końca, a dawał jej zewnętrzny wyraz miedzy innymi na łamach swej prasy. Trzeba też podkreślić zbieżność wytycznych w polityce, realizowanych przez władze Stronnictwa Narodowego za granicą, z ogółem prac organizacji politycznej w kraju. Ogromny wpływ na politykę krajową w owym czasie wywarł Stefan Sacha. Śmierć jego, (która w żadnym razie nie była sprawą przypadku), to jeden z najboleśniejszych ciosów, jakie otrzymała polityka polska na terenie kraju.

Silnych nerwów i dalekiego spojrzenia na sprawy wojny wymagała ówczesna sytuacja w kraju. Ofensywa polityczna Rosji prowadzona metodą penetracji polskiego życia, ułatwiona zasłonami konspiracji, zmierzała w kierunku rozproszenia sił politycznych i wojskowych, oraz podciągnięcia na ich miejsce własnych agentur. Dekompozycji tej zdecydowanie oparło się Stronnictwo Narodowe. Cały wysiłek niezmordowanych dni i nocy poświęcał prezes Sacha na zorganizowanie jedności politycznej w dziedzinie celów wojennych Polski i zawieszenia na okres wojny ostrych tarć partyjnych. Praca jego na terenie Krajowej Reprezentacji Politycznej, uczciwość taktyki w stosunku do partnerów z innych obozów i osiągnięcie poważnych efektów tej współpracy nie mogą być przez nikogo podważane, kto blisko stał jego działalności. Broniąc dobrze pojętych najistotniejszych zasad swojego ruchu politycznego, nieraz musiał rzucić na szalę kompromis, cementować polityczną koalicję. Kwestią jego zdolności było, że kompromis ten, istotnie twórczy, miał wystarczająco obszerne granice dla współdziałania głównych kierunków politycznych, nie naruszając założeń ideowych własnego obozu.

Wysiłkowi politycznemu w dziedzinie jednolitego frontu krajowego odpowiedzieć musiał taki sam trud na terenie wojskowym. Ruch narodowy po wrześniowej klęsce stworzył wielką i sprężystą organizację wojskową N.O.W. Z zażenowaniem czytałem latem ubiegłego roku jak za granicą, z perspektywy niedawnych jeszcze zdarzeń, za świeżej pamięci, usiłowano z dorobku tej organizacji w walce o Polskę . . . utargować jakąś sumę stanu liczebnego. Z zażenowaniem — jest to bowiem bardzo specyficznego charakteru targ, jakże różniący się atmosferą od tamtych podniosłych chwil, gdy Komendant Główny Armii Krajowej generał Grot-Rowecki ze wzruszeniem i wdzięcznością ściskał dłoń prezesa Sachy, gdy potem wspólnie z nim słuchał dziękczynnej Mszy Świętej w jednym z mieszkań. Musiało coś zajść od tego czasu. Zaszło wiele, a między innymi to, że i generał Grot-Rowecki i Stefan Sacha dziś nie żyją. Może jednak gdzieś w archiwach wojskowych przechował się odpis depeszy Naczelnego Wodza, wyrażającego głębokie uznanie z faktu dobrowolnego scalenia wojskowych organizacji w kraju.

Rzecz ta — biorąc pod uwagę sumę narosłych przeciwności, konserwowanych zwłaszcza wśród kierowniczych sfer wojskowych, (niejednokrotnie niechęć do t.zw. "partyjników", "endeków" i.t.d.) — rzecz ta, powtarzam, nie

była ani łatwa, ani zbyt popularna w szeregach N.O.W. Faktem ogólnie znanym są duże trudności wewnętrzne, jakie obóz narodowy miał od czasu wejścia na drogę scalenia. Droga ta była trudna z wielu stron. Głównymi twórcami scalenia ze strony N.O.W., oraz ze strony Stronnictwa Narodowego byli: Sacha, Klimecki, Bajkowski, Mikułowski, Kornas — wszyscy nie żyją.

Skreślonym wyżej głównym zadaniom okresu musiała sprostać służba informacyjno-prasowa. Atmosfera życia politycznego i sama atmosfera frontu podziemnego nie była już tak czysta. Od pewnego czasu rozpoczęła się inflacja pism podziemnych, dezorientująca całkowicie czytelnika, nie tylko co do autorstwa pisemek, lecz także i w zasadniczych sprawach politycznych. Warto zaznaczyć, że pod koniec konspiracji systemu "prasy podziemnej" chwyciło się nawet Gestapo, wydając parę swoich "konspiracyjnych" organów, rozsyłanych według adresów książki telefonicznej. Szła dalej i rozszerzała się fala rozłamów, zwłaszcza na lewicy. Nie były to procesy organiczne. Była to metoda coraz większej penetracji agentów sowieckich, dająca mimo wszystko sukcesy. Rozłam w Polskiej Partii Socjalistycznej (W.R.N.) i stworzenie R.P.P.S. było pierwszym pomostem do szerokiego wciśnięcia się zamaskowanych agentur w polskie życie polityczne. Byli to dzisiejsi "socjaliści" Osóbki-Morawskiego. Przez dłuższy czas zarówno w sferach kierowniczych Armii Krajowej (B.I.P.) jak też i w Delegaturze Rządu panowały nieporozumienia czy złudzenia na temat suwerenności politycznej R.P.P.S.-u. Piszący te słowa miał możność zwracania uwagi czynnikom odpowiedzialnym w Delegaturze Rządu, jak również przedstawicielom prasy wojskowej o całkowitej zbieżności celów P.P.R. i R.P.P.S. Jednym z zewnętrznych dowodów tej zbieżności była wspólna droga kolportażowa pism P.P.R.-u i R.P.P.S.-u czyli poważna symbioza organizacyjna — coś, czego organizacje konspiracyjne wystrzegały się bardzo zazdrośnie. Działanie na odcinku socjalizmu nie było zresztą jedyne. Szerokim frontem działała także dywersja sowiecka na innych terenach. Jeśli do tego dodać fikcyjną jedność narodową rządu p. Mikołajczyka, obraz trudności zarysuje się w całej pełni. Na odcinku wojskowym proces scalania naszej organizacji napotykał na znaczne trudności, niechęci i uprzedzenia. Wydawało się, że kierownictwo polityczne Armii Krajowej (B.I.P.) pragnie narzucić podziemnemu wojsku swoiście pojętą "demokratyczną" firmę. Zewnętrznym wyrazem tego (już podczas powstania) była urzędowa nomenklatura "obywatel", która jak wiadomo przyjęła się potem zupełnie gdzie indziej. Nie wszystko, co na procesie warszawskim mówił p. płk. Rzepecki, można złożyć na karb terroru bierutowych sądów. Z częścią jego wypowiedzi spotkaliśmy się wcześniej.

Walka *Walki* i całego już instrumentu informacyjno-prasowego Stronnictwa Narodowego i N.O.W. na odcinku wewnętrznym była z jednej strony obroną dawnych założeń konsolidacji politycznej i wojskowej, jak z drugiej kategorycznym przeciwstawianiem się wszystkiemu, co dążyło do wypaczenia zjednoczenia na obu odcinkach, co usiłowało narzucić przyszłemu życiu polskiemu jednostronny charakter. Przeciwstawiliśmy się z całą stanowczością określeniu Polski jako t.zw. szklanej kuli, która musiała się przynajmniej "zaróżowić" od "pożaru sowieckiego". Między innymi do jasnych, ale ostrych wypowiedzi musieliśmy się uciec, żeby się przeciwstawić twierdzeniom rządu p. Mikołajczyka o rzekomym zrealizowaniu jedności narodowej w jego gabinecie. W sposób nie pozostawiający dalszych wątpliwości naczelny organ krajowych władz Stronnictwa Narodowego *Walka* dawał znać, że nas w tym rządzie nie było i że to dla polityki polskiej było bardzo niebezpieczne. Reklamowaną w pewnych odezwach krajowych i w "tajnej" radiostacji "Świt" jedność narodową w rządzie p. Mikołajczyka, nazwaliśmy: "konsolidacją radiową".

*

Do dyspozycji prac politycznych i wojskowych posiadaliśmy następujące pisma: *Walka* z dodatkiem wojskowym, *Żołnierz Wielkiej Polski*, pismo dla wsi — *Polak*, dla młodzieży — *Młoda Polska*, miesięcznik polityczno-literacki — *Sprawy Narodu*, pismo harcerskie — *Patrol*. Poza tymi pismami centralnymi, kolportowanymi we wszystkich okręgach od Nowogródka po Opole, były także liczne pisma okręgowe z *Warszawskim Głosem Narodowym*, bardzo dobrze redagowanym organem okręgu stołecznego. Do specjalnie ruchliwych środowisk w dziedzinie prasy należał Lwów ze *Słowem Polskim*, Okręg Centralny, Lublin i Częstochowa.[1])

Całość prac należała do kierownictwa prasowego Centralnego Wydziału Propagandy S.N. i odpowiedniego oddziału Komendy Głównej N.O.W.

Osobny dział prasy stanowiły wydawnictwa nieregularne, oraz książki. Pierwszą książką wydaną za czasów mojej pracy była obszerna źródłowa broszura, odpierająca zarzuty kampanii anty-kościelnej. Tytuł książki: *Warszawa — Rzym*, treść — wypowiedzi oficjalne Watykanu w sprawie Polski, analiza ich i wnioski, rozprawiające się z demagogią i oszczerstwem akcji przeciw Kościołowi Katolickiemu. Akcja ta inspirowana była zarówno ze strony niemieckiej, jak i sowieckiej. Następną książką, wykonaną bardzo starannie przez Zakłady Wydawnicze *Walki*, była antologia poezji krajowej p.t. *Słowo Prawdziwe*. Antologia ta wyszła w dwóch wydaniach (wydanie drugie rozszerzone) i obrazowała szeroki przekrój twórczości poetyckiej w kraju za czasów okupacji niemieckiej, Jednym z bliskich mi współpracowników przy tej pracy, pochodzącym z zupełnie innej konstelacji ideologicznej (socjalista), był ś.p. poeta Tadeusz Hollender, zawzięcie walczący w czasie wojny z komunizmem, rozstrzelany przez Gestapo. Jedną z ostatnich też prac publicystycznych Jana Bajkowskiego, człowieka o głębokim zmyśle artystycznym, literata i malarza było posłowie do *Słowa prawdziwego* — pochwała słusznej walki za ojczyznę. Skrytobójczy zamach w listopadowy wieczór 1942 roku na Saskiej Kępie dokończył za Janka jego słowo prawdziwe. Śmierć zapewne przyniosła mu dalszą część myśli: "*Dulce et decorum est pro patria mori*".

Zebrany przez ośrodek lwowski tomik poezji p.t. *Wierne płomienie* była antologią artystyczną Lwowa, wydaną także w *Zakładach Wydawniczych Walki* i naszym nakładem.

Ludzie . . . .

Najtrudniej właśnie pisać o nich. Trzeba było ich widzieć, tych — najlepszych. Te wielkości w najprostszych obowiązkach, w samym centrum najcięższej wojny. Od czasów, gdy objąłem kierownictwo *Walki* t.j. od maja 1942 roku aż do października 1944, nie było już ciosów takich, które choćby na moment przerwały pracę. Bóg uchował najkonieczniejszych. Wojna jednak zabierała wciąż tych, z którymi praca zrosła się niepodzielnie, którzy *Walce* nadali najwyższy ton służby narodowej, bez rachunku sił osobistych, styl żołnierskiej powinności Bogu, Ojczyźnie, idei. Ich to dziełem jest *Walka*: Sachy, Piaseckiego, Bajkowskiego, Mikułowskiego, i tych, których nie wymienię, bo nazwisk nie znałem, bo figurowali w najkrótszych raportach takich jak: "padł kolporter taki to a taki — droga zabezpieczona—można wysyłać dalej". Suma ich bohaterstwa jest zapewne ową przeciętną *natchnienia narodów*, które my, Polacy powinniśmy pisać bez cudzysłowów. Powstanie dodało nowych strat, pokazując jednocześnie w otwartym polu ludzi z najjaśniejszego podziemia — "równych chłopców", drukarzy i zecerów, którzy brawurą swojej pracy zdumiewali niejraz porządnie już zblazowanych w odwadze żołnierzy Starego Miasta. Oni to pracowali otoczeni idealnie przez płomienie pożarów w trzymającej się cudem, wiszącej nad gruzami, ocalałej salce drukarskiej w pasażu na Miodowej. Oni byli na czele tych, którzy wśród ognia z resztek strąconego samolotu angielskiego wymontowywali karabin maszynowy i wyciągali z tychże płonących resztek amunicję. Oni byli pierwsi w ratowaniu pożarów podczas najsilniejszego ostrzeliwania. Ranni, głodni . . . I ci bardzo bliscy mi wtedy: Janusz Gorczykowski kierownik techniczny zakładów wydawniczych; wypełnił rozkaz, niestety ponad miarę; miał zgłosić się w razie wybuchu powstania na oznaczony punkt, odcięła go linia frontu na Powiślu; zebrał więc z ulicy jakąś drużynę ochotników i nie wiem z czym, pewnie z pistoletem, poszedł do natarcia na pozycje niemieckie; nie przeszedł — padł zabity. Olgierd Zbirohowski, ostatni sekretarz *Walki*, redaktor *Młodej Polski*, młodziutki intelektualista, siedzący zwykle w chwilach przerwy od pracy w powstańczej *Walce* na płonących dachach, nawet wtedy, gdy artyleria niemiecka bardzo konkretnie wstrzeliwała się w ten właśnie dom.

— Bo przecież ktoś musi zgasić — filozofował, uśmiechając się i przepraszając, że może źle zrobił.

Zginął po wycofaniu się ze Starego Miasta, na Powiślu. Ci właśnie przed chwilą wymienieni i ci co przeżyli: Maciej Cybulski, Tadeusz Loret, Andrzej . . . byli najdzielniejszym ostatnim zespołem na Starym Mieście. Z największą pasją dezerterzy z Armii Ludowej (komuniści) usiłowali zdzierać z murów staromiejskich *Walkę*. Nie mogli nadążyć, pismo było wszędzie, od barykad po najdalsze podwórza. Przetrwało do ostatnich dni, gdy po komunistach na froncie śladu już nie było i tylko dwa najbardziej widoczne pisma patrzyły w twarz wchodzącym Niemcom: *Walka* i *Warszawianka* — P.P.S.-u.

W śródmieściu po dwóch tygodniach powstania rozpoczęła pracę również jako dziennik filia *Walki* staromiejskiej, odciętej od reszty powstańczej Warszawy. Razem ze wzruszającymi listami od władz naczelnych Stronnictwa Narodowego przyniosła mi na Stare Miasto, przez kanały podziemne kilka numerów tej *Walki* śródmiejskiej, komendantka kobiecej N.O.W., Barbara.

Wymarsz kanałami ze Starego Miasta, długie tygodnie nadziei w śródmieściu, wreszcie dogorywanie powstania. Zwyciężyła zmowa dwóch zaciekłych wrogów Polski, konsekwentnie niszczących naród przez cały czas wojny.

Mam tu ze sobą kilka numerów *Walki* z tamtych dni. Rozwijam je często, i patrzę. Coraz to, w tych samych rzędach liter widzę coś innego. A najczęściej widzę tych, z którymi się pracowało i tych, dla których minęły w *Walce* owe lata. Nie, nie minęły — są oto blisko, pod ręką, rozwinąć tylko, spojrzeć. Są wszyscy: ci co padli, co dalej padają, co przeżyją i zwyciężą — najpiękniejszy pod słońcem Naród.

WIKTOR TROŚCIANKO

[1]) Uwagami tego artykułu nie są objęte wydawnictwa części S.N., która od roku 1942 do marca 1944 znajdowała się poza kontaktem z władzami Zarządu Głównego S.N. i Komendy Głównej N.O.W.

JAN BIELATOWICZ

DRUGI KORPUS

Pisać o 2 Korpusie jest to ambicja bardzo śmiała. Równać by ją można z ambicją pisania o Polsce lub Polakach. Drugi Korpus był bowiem w czasie Drugiej Wojny Światowej — "małą Polską", Polską w ruchu. Może najbardziej pierwiastkową ideą 2 Korpusu jest właśnie zrozumienie i działanie w oparciu o rozumienie niepodległego rozprzestrzenienia się sprawy polskiej na cały świat. Polska jest wszędzie, gdzie jest idea polska. O Polskę walczyć można wszędzie. Polskę budować można w każdym punkcie świata i w każdym położeniu. Granice Polski nie określają skończonego terytorium ziemi, ludzi i zbiorowej woli, lecz zazębiają się i krzyżują z granicami wszystkich ludów, lądów i rządów. Ludzie, którzy 2 Korpus uformowali, byli wybrańcami tej wielkiej lekcji historii i wiarą w jej prawdziwość kończą się dzieje 2 Korpusu, jako zwartej jednostki wojskowej.

Dzieje Polski, a raczej po prostu Polska, ma dwie, nieznane innym narodom instytucje: jedna — to powstania, druga — to emigracja zbrojna. Również w czasie Drugiej Wojny Światowej powstanie na wielką skalę wybuchło tylko w Polsce i wielką emigrację zbrojną miała tylko Polska. O ileż korzystniejsze warunki posiadała do uformowania armii emigracyjnej Francja, a przecież sama zdobyła się właściwie tylko na reorganizację Legii Cudzoziemskiej. Toczy się właśnie teraz dyskusja o sensie polskich powstań i emigracji zbrojnych. Dyskutować wolno i trzeba, ale jak sprawdzić słuszność sądów, skoro historia Polski nie jest księgą zamkniętą i skoro bilans jej rachunków mierzyć trzeba stuleciami? To, co się dziś wydaje błędem i trwonieniem sił, może się po latach okazać mądrą polityką i błogosławieństwem. Nie istnieje kodeks dla żywych sił historii. Zresztą charakteru narodowego, podobnie jak dziedzictwa jednostki, nie da się od razu odmienić, nawet największymi siłami.

A więc 2 Korpus był emigracją zbrojną. Każda emigracja zbrojna, a polskie w szczególności, nie ograniczają się do funkcji ściśle wojskowych, czego n.p. nie mogą pojąć Anglosasi. W samym fakcie emigracji tkwi wola polityczna. Dla ilustracji współczesnej można przypomnieć rolę de Gaulle'a. Dla świata wielkim zaskoczeniem i wielkim wstrząsem była decyzja żołnierzy polskich niewracania do Polski niewolnej. Był to wyraz woli politycznej. I jeżeli można wzruszać ramionami nad zdumieniem obcych, że polska armia emigracyjna jest zarazem polską siłą polityczną, trudno pogodzić się z także naiwnością nielicznych zresztą Polaków. Emigracja zbrojna w swej istocie musi być siłą polityczną. 2 Korpus był siłą polityczną. Jako siła polityczna odegrał wielką rolę na rzecz Polski i jako siła polityczna był namiętnie przez wrogów jej zwalczany.

Byłoby źle, gdyby wojsko miało być jedyną siłą polityczną Polski. Jest ono jedną z jej sił, najważniejszą kartą polityczną. Armia jednakże emigracyjna ma zawsze większą autonomiczność polityczną i większą swobodę doraźnego politycznego działania. Armia ma nawet większą możność takiego działania. Rolę polityczną 2 Korpusu można zsumować do trzech najważniejszych osiągnięć: 1) wielkiego polskiego veto wobec Rosji, demokracji zachodnich i własnych kapitulantów, 2) do programu dalszego nieustępliwego działania obozu niepodległościowego i 3) do systematycznego ukazywania światu niebezpieczeństwa i właściwych celów polityki sowieckiej. 2 Korpus był dla świata raną, zadaną przez Sowiety, w którą można było dotykalnie włożyć rękę. Klęskę polityków bowiem uważa się za przegraną grę, krzywdę zaś żołnierzy za krzywdę narodu. Rząd na wygnaniu nie wzrusza nikogo, naród na wygnaniu jest najuroczystszą formą protestu politycznego.

Protest jest pojęciem biernym, walka czynnym. Ludzkość nie wynalazła do tej pory żadnego bardziej przekonywającego wyrazu woli życia ponad przyrodnicze prawo walki. Dlatego cmentarze polskie na wszystkich pobojowiskach świata nie są wyrazem "manii samobójczej" Polaków, ale manifestem woli życia. Walka jest najskuteczniejszą formą polityczną.

Zwykło się przedstawiać w czarnych kolorach rozmiar ofiar polskich na polach bitew. Otóż najmniej kosztowną ofiarą narodu jest otwarta walka zbrojna. Partyzantki, powstanie, akcje sabotażowe, a nade wszystko praca podziemna i prześladowania okupantów kosztowały Kraj miliony ofiar. Cztery tysiące pięćdziesiąt poległych 2 Korpusu, to nie jest przesadnie wielka ofiara za cenę Monte Cassino, Ankony, Linii Gotów, Apenin, Senio i Bolonii. Najlepszą polityką w czasie wojny jest walka, pod warunkiem, że jest walką polityczną. Taką była pełna chwały walka 2 Korpusu. Wycofanie się z walki w jakimkolwiek momencie wojny pozbawiłoby nas zupełnie platformy do dalszego działania poza granicami Kraju, odcięłoby nas nieodwołalnie od Zachodu. Ślepym trzeba być, sądząc, że korzystniej byłoby dla Polski, gdyby Brytyjczycy nie mieli zobowiązań wobec żołnierzy polskich. Niechęć do walki byłaby dowodem skłonności samobójczych Polaków.

Anachroniczne jest dziś myślenie o żołnierzu kategoriami "żołnierza-tułacza", Bartka Zwycięzcy, czy Michcika z powieści Żeromskiego. Ograniczanie zasług polskiej emigracji zbrojnej do pól bitew, do rzemiosła wojennego, źle świadczy nawet o największym chwalcy wysiłku zbrojnego, o ile nie obejmuje on politycznego rozmiaru walki. Nie znaczy to oczywiście, aby o dokonaniach polskiego czynu zbrojnego nie mówić. Wdzięczna to rola, gdy idzie o 2 Korpus.

Ilustrowanie czynów orężnych obchodowymi wypowiedziami znakomitych mężów, generałów, polityków i dziennikarzy nie odzwierciedla nawet w małej mierze istotnego ich znaczenia. Trzeba wiedzieć, że zwłaszcza w stosunku do aliantów nie lubi się mówić całej prawdy, a niejeden sukces wolałoby się zapisać na własnym koncie, co się też najczęściej praktykuje. Pracowity zbiór wypowiedzi brytyjskich o Polskich Siłach Zbrojnych W. Leitgebra p. t. *It Speaks for Itself*, gdzie przytoczono 43 wypowiedzi o 2 Korpusie, daje tylko skromniutki obraz wartości wysiłku zbrojnego 2 Korpusu. Można by te wypowiedzi pomnożyć przez dowolną ilość razy, przy czym w ilorazie znalazłyby się opinie o znacznie poważniejszym ciężarze gatunkowym, niż zacytowane w książce.

2 Korpus powstał w okresie najbardziej krytycznym dla W. Brytanii i świata zachodniego: niedługo przed Alamein i Stalingradem. Sześćdziesiąt tysięcy żołnierza białego — a żołnierz biały liczył się w tej wojnie przede wszystkim — w samym centrum newralgicznym wojny i imperium, na Środkowym Wschodzie, to był uśmiech losu dla szczęśliwej Brytanii. Pamiętajmy, że z dominiów brytyjskich Australia wystawiła do Europy tylko 2 dywizje, a Nowa Zelandia i Południowa Afryka po jednej. Na wojnę mobilizuje się wiele wojska, walczy bardzo niewiele. Mało się pamięta o tym, że Korpus Polski od razu stanął na froncie. W owym czasie, w jesieni 1942 r., wisiał w powietrzu upadek Kaukazu, a Iran i północny Irak, gdzie znalazły się oddziały 2 Korpusu, przewidziany był jako pierwsza linia obronna serca imperium.

Wielka rola wojskowa przypadła w udziale 2 Korpusowi dopiero jednak we Włoszech. Oceny zwycięstw wojennych w ustach polityków są przeważnie frazesami, mimo iż brzmią niekiedy tak pięknie i pochlebnie, jak oświadczenie Churchilla w Izbie Gmin: "Nic nie może przewyższyć dzielności naszych polskich aliantów w Italii" (24.5.1944). Lepszą miarą są oceny wojskowych. O 2 Korpusie powiedział jeden z najwybitniejszych generałów naszej epoki, marsz. Sir Harold Alexander: "Jeżeli by mi dano do wyboru między jakimikolwiek żołnierzami, których bym chciał mieć pod swoim dowództwem — wybrałbym was, Polaków" (w czasie dekoracji gen. Andersa Orderem Łaźni).

Było to po bitwie o Monte Cassino. 2 Korpus spełnił w tej bitwie zadanie, o którym wyraził się marsz. Wilson, że "stało się jedną z najcięższych bitew w tej wojnie" (depesza na odsłonięcie pomnika pod M.C.). Monte Cassino było początkiem końca Drugiej Wojny Światowej i zadecydowało o zajęciu przez sprzymierzonych pierwszej stolicy europejskiej — Rzymu. Wiele armii podkreśla swoją rolę w tej historycznej bitwie narodów. O roli głównej jednak najlepiej powie pobojowisko, ziemia, w której legło na zawsze 1076 ciał polskich, a cmentarz na polu bitwy będzie świadczył światu o zasłudze tych żołnierzy tak długo, jak długo żyć będzie kultura europejska. Monte Cassino ma poza operacyjnym jeszcze inne znaczenie. Była to pomsta nad burzycielami chrześcijańskiej kultury. Wyrok Opatrzności wręczył dla jej wykonania miecz w ręce Polaków.

Monte Cassino jest szczytowym punktem chwały polskiego oręża w Drugiej Wojnie Światowej. O bitwie tej mówią najwięksi strategowie w superlatywach. Marsz. Wilson jest pewien, że zwycięstwo 2 Korpusu "przejdzie do potomności w historii wojny na jej śródziemnomorskim teatrze", gen. Eisenhower sądzi, że "wolny świat będzie pamiętał zawsze ofiarę Polaków", marsz. Alexander przypuszcza, że "imiona Polski i Monte Cassino będą zespolone sławą, która będzie żyć w pamięci ludzi wielu pokoleń". W ideę polską bitwy o Monte Cassino wczuł się najgłębiej dowódca 5 Armii Stanów Zjedn., gen. Truscott, kiedy depeszował do dowódcy 2 Korpusu: "Wraz z Panem boleję nad stratą tych rodaków waszych, którzy przez miłość wolności polegli dla wolności ludzi. Przez ich odejście nie tylko Kraj wasz, ale i świat cały stał się nieskończenie uboższy. Byli to ludzie niepospolitej odwagi — ci, którzy walczyli pod Monte Cassino, w bitwie tak zażartej i krwa-

wej, że wszędzie Monte Cassino stało się dla wolnych ludzi symbolem. Żołnierze polscy przodowali w tej bitwie z tą samą stałością woli, która czyniła zawsze imię Polski hasłem dla ludzi miłujących wolność". Znaczenie bitwy o Monte Cassino w sensie historycznym polega na tym, że nie była to bitwa obronna o substancję biologiczną małego narodu, ale bitwa narodu wielkiego, który pragnie brać udział w kształtowaniu przyszłości świata, który stać na walkę w imieniu całego świata. Monte Cassino była to bitwa o Polskę Wielką.

Po Monte Cassino większość decydujących bitew kampanii włoskiej rozstrzygnął również 2 Korpus. Zluzowawszy Hindusów nad rzeką Pescara, szedł on zwycięsko w nieustannych bitwach i potyczkach przez pełny rok na północ, obejmując blisko połowę całego włoskiego frontu i zadając cios ostateczny, który spowodował kapitulację armii niemieckiej. Trzeba było mocnej woli dowódcy, aby bez przerwy i bez rezerw toczyć tę zaciekłą walkę. Napór 2 Korpusu sprawił, że Niemcom nie udało się już nigdzie zbudować trwalszej linii obrony. Pościg adriatycki, z pięknymi bitwami o Loreto, Osimo i Castelfidardo, zakończony efektownym zdobyciem Ankony, późniejszej bazy całego frontu, nie utknął na rzece Esino, ponieważ 2 Korpus wymanewrował odwrót niemiecki z Ankony. Linia Gotów padła w trzy dni, ponieważ jej załodze 2 Korpus zadał dotkliwe straty nad rzekami Cesano i Metauro. Front adriatycki utknął pod Rimini, kiedy Polacy zeszli z frontu. Po kilku tygodniach 2 Korpus skierowano na niezwykle trudny w zimowych warunkach odcinek w Apeninach Toskańskich. W licznych, wzorowych natarciach, głównie piechoty, Korpus zajął szereg miasteczek romańskich i umożliwił zajęcie Forli i Faenzy pancernym jednostkom brytyjskim, otwierając wyjście na równinę lombardzką oraz przygotował nad rzeką Senio podstawę wyjściową do wiosennego natarcia. Znad tej rzeki poszło decydujące uderzenie polskie, zakończone zdobyciem Bolonii, zamykające walki we Włoszech i na całym południu Europy. "Odegraliście decydującą rolę w tym wielkim zwycięstwie", a "stawiły wam czoło najlepsze oddziały niemieckie" — głosi rozkaz dowódcy 8 Armii, gen. Mc Creery. O 2 Korpusie mówiono niedawno w Izbie Gmin, że nie można było bez niego wygrać wojny w Italii. Gen. Anders uważany był za najlepszego dowódcę we Włoszech (*The Times* z 18.2.1946). Korpus Polski w Italii nie był wojskiem pomocniczym, honorową reprezentacją aliancką, ale głównym partnerem. Rozkaz pożegnalny dowódcy 8 Armii, gen. Leese'a, do 2 Korpusu stwierdza: "Odegraliście znakomitą rolę w zwycięstwach 8 Armii" (1.10.1944). Stąd się też wywodzi się stosunek Brytyjczyków do 2 Korpusu.

Bić armię, która stała się postrachem całego świata, mogła tylko równie dobrze wyszkolona armia. 2 Korpus w Italii był organizacją wzorową i dającą sobie samodzielnie radę z olbrzymią machiną nowoczesnej wojny. Z jeńców Polaków z szeregów niemieckich w kilka miesięcy powstały nowe brygady, których zasługą w głównej mierze jest zdobycie Bolonii. Dodatkowo 2 Korpus spełniał szereg zadań społecznych, jakich normalnie żadna armia nie wykonuje. Była to nowoczesna armia, a powrót jej do Polski wolnej byłby najlepszym dla niej wianem emigrantów.

Szlak 2 Korpusu prowadził przez wiele krajów. Wszędzie tam rozpowszechniała się sprawa polska i wszędzie rozumiano, że taka armia należeć musi do narodu wielkiego szukającego sprawiedliwości. Trudno jeszcze dziś ocenić, jak doniosły wpływ miała na ludy i rządców Rosji sowieckiej obecność w jej wnętrzu żołnierzy niepodległej Polski. Wnioskując po wielu objawach sądzić można, że Rosjanie spostrzegli się, iż z Polakami nie opłaca się otwarta walka. Człowiek sowiecki zrozumiał, że jest coś droższego na świecie ponad jego ideał i że jego przyszła rola wyzwoleńcza jest złudna. Katyń jest jedną z największych klęsk sowieckich. Ewa Curie w głośnej książce *Journey Among Warriors* dostrzega tę prawdę, gdy pisze o żołnierzach polskich w Związku Sowieckim, którzy "mogli być sędziami", ale "wybrali milczenie".

Narody arabskie napewno zachowały pochlebną opinię o Polakach, a zwłaszcza Irak i Syria, gdzie było szereg objawów przyjaznego zbliżenia.

Z trudnego zadania okupacji Włoch 2 Korpus wyszedł z najlepszą sławą. Ataki pochodziły li tylko z prasy komunistycznej, aczkolwiek nie brak było nawet takich paradoksów, jak odezwy prowincjonalnych organizacji komunistycznych: *W la Armata Polacca! W I Liberatori Polacci!* Komunistyczny prezydent m. Bolonii wręczał obywatelstwo honorowe miasta dowódcom polskim. 2 Korpus umiał dać świadectwo idei polskiej i Legionów Dąbrowskiego: "ludzie wolni są braćmi" i nie uronić nic z tradycji historycznej przyjaźni polsko-włoskiej. Pięknej legendy nie obaliła twarda rzeczywistość okupacji.

Watykan był terenem wielokrotnych manifestacji polskiej wierności Stolicy Piotrowej. Ojciec św., Pius XII dawał jawny wyraz swej radości z przywiązania Polaków i na publicznych audiencjach kilkakrotnie wyrażał troskę o naród polski i wiarę w jego lepszą przyszłość, a żołnierzy 2 Korpusu błogosławił. Nawet niemiecki poseł przy Watykanie wyraził się, że z żołnierzy wszystkich narodów, jakie przeszły przez Rzym, najbardziej katolickim okazali się Polacy. Propaganda komunistyczna nazywała prasowy organ Watykanu *Osservatore Polacco*, tyle w nim było miejsca, poświęconego słusznej sprawie polskiej. Bez wątpienia rola 2 Korpusu w Italii miała poważny wpływ na pogląd Watykanu w sprawie polskiej. Warto tu przypomnieć, że bazylika loretańska zawdzięcza ratunek od pożaru od bomb niemieckich żołnierzom polskim, a klasztor Monte Cassino poważny fundusz na odbudowę.

Nazywa się często 2 Korpus "Małą Polską". Było to istotnie całe społeczeństwo, z rodzinami, szkołami, instytucjami społecznymi, wydawnictwami, prasą, nauką i sztuką, a nawet z małymi koloniami polskimi po całym świecie i przedstawicielstwami konsularnymi przy każdym polskim skupisku. 2 Korpus był jakby wielkim polskim okrętem, żeglującym wśród potopu czasu, zbierającym zewsząd polskich rozbitków. Był ostatnią nadzieją, przystanią i stacją zbiorczą dla Polaków, rozsianych po świecie przed wojną i na skutek jej wybuchu, dla internowanych i więzionych, dla uchodźców z Kraju, dla zesłańców i więźniów Rosji, dla wcielonych przemocą do armii niemieckiej, dla wyzwolonych jeńców z Niemiec i wyzwoleńców z obozów koncentracyjnych, dla żołnierzy A. K. Miejsce postoju 2 Korpusu było gwiazdą polarną pielgrzymstwa polskiego w czasie Drugiej Wojny Światowej.

Najpierw 2 Korpus wyprowadził z domu niewoli sowieckiej ponad sto tysięcy Polaków, w tym czterdzieści tysięcy kobiet i dzieci. W czasie akcji czerpał uzupełnienia swych sił z niemieckiego przedpola. Wreszcie zebrał rozbitków z całej Europy, z niewoli niemieckiej i z kacetów oraz uchodźców z Kraju, stając się osią krystaliczną dalszej walki o niepodległość. Dał zebranym Polakom przytułek, wrócił im godność i podzielił się z nimi chlebem. Przytulił do siebie nie tylko tych, którzy ubrali mundur polowy, ale i rodziny i sporą gromadę cywilną, głównie młodzież.

Wielostronne było dzieło społeczne 2 Korpusu. Dał on podstawy dla istnienia i utrzymywania przez sprzymierzonych następujących skupisk polskich: w Afryce Wschodniej, w Rodezji, w Palestynie, w Libanie, w Persji, w Indiach, w Nowej Zelandii, Meksyku i Italii (osiedle 2 Korpusu.) Łącznie stanowiło to blisko sto tysięcy ludności cywilnej, przeważnie dzieci. Doliczyć trzeba również do tego kilkunastotysięczną cyfrę oficerów drugiej grupy i ich rodzin na Środkowym Wschodzie. Poważny wpływ moralny i materialny miał również 2 Korpus na wygnańców polskich w Niemczech i we Francji. Fundusz Społeczny 2 Korpusu osiągnął sumę stu kilkunastu tysięcy funtów, a doraźne składki, jak n.p. na pomoc Warszawie, były popisami ofiarności żołnierza. Przy Korpusie istniały rozliczne instytucje społeczne, a ich dorobek stanowi osobny i obszerny rozdział emigracji wojennej. Szkół posiadał 2 Korpus kilkadziesiąt. Były to szkoły średnie ogólnokształcące i techniczne oraz powszechne we Włoszech i na Środkowym Wschodzie. Na wyższych uczelniach studiowało około 2000 studentów w Bejrucie, Rzymie, Bolonii, Mediolanie i Turynie.

Wysoki nastrój ideowy zawdzięczał 2 Korpus nie tylko materiałowi ludzkiemu, z jakiego powstał, ale także pracy jego środowiska publicystycznego, literackiego i naukowego oraz licznych placówek artystycznych. Dzieło kulturalne Korpusu obejmowało niemal wszelkie dziedziny nauki i sztuki. Wyliczanie ich tu rozsadzałoby ramy zwięzłej syntezy. Okręt 2 Korpusu miał na swym pokładzie poważne grono pracowników kulturalnych, którzy nie przespali czasu burzy. Po zakończeniu działań wojennych okręt ten zabrał sporą gromadę rozbitków tej kategorii z całej Europy.

Publicystyka 2 Korpusu od swych początków konsekwentnie wskazywała na niebezpieczeństwo sowieckie, przynosząc cenne dokumenty z zakresu znajomości polityki sowieckiej, tłumaczone na obce języki. Krzywdy wyrządzane Polsce miały najgłębszy rezonans w 2 Korpusie. Czołowi publicyści Korpusu pochodzili ze szkoły Romana Dmowskiego.

Literatura piękna wydała typ pisarza-żołnierza, otworzyła sobie w Korpusie szeroko okna na świat, a w patrzeniu na sprawy polskie posługiwała się chętnie, podobnie jak publicystyka, historyzmem. Bujnemu ruchowi periodycznemu patronował tygodnik *Orzeł Biały*, a żywemu i wszechstronnemu ruchowi wydawnictw książkowych "Biblioteka Orła Białego". Naukowcy badali Wschód, a archiwum nazbierało wiele skarbów, zwłaszcza poloników we Włoszech.

2 Korpus był organizacją wielkiego narodu. Dlatego też nie istniała w jego ramach kwestia narodowościowa, choć usiłowano mu ją narzucić. Mniejsze narody spoglądały z zazdrością na Korpus, a usiłowań stworzenia legii narodów Polsce przyjaznych przy Korpusie niestety nie dało się urzeczywistnić.

Kraj upodobał sobie 2 Korpus, uważał go za swoje pierwsze wojsko i żywił się legendą Korpusu. Kraj dalej czeka na powrót 2 Korpusu.

Jaki bezpośredni wpływ miało istnienie i działalność 2 Korpusu na Rosję i lubelsko-warszawski reżim, powie o tym przyszłość. Tym bardziej, że rola względnie spadek 2 Korpusu działać będą w przyszłości. Tak bowiem trudno jest rozwiązać 2 Korpus, jak trudno jest unicestwić Polskę lub Polaków.

JAN BIELATOWICZ

UWAGI

NIE TYLKO PRZYSZŁOŚĆ GRECJI JEST W GRZE

Ostatni rozwój wypadków w Grecji jest z wielu stron ważny i interesujący, nie tylko dlatego, że toczy się tam w tej chwili otwarta walka między rewolucyjną armią komunistyczną a oddziałami rządu ateńskiego, ale przede wszystkim dlatego, że kraj ten leży na styku sfer interesów wielkich mocarstw, których zachowanie się w sprawie greckiej będzie miało znaczenie daleko wykraczające poza samą Grecję.

Dnia 24 lutego Departament Stanu w Waszyngtonie otrzymał notę rządu brytyjskiego, zawiadamiającą, że W. Brytania z powodu własnych swoich trudności nie będzie mogła udzielać dalszej pomocy ekonomicznej Grecji po 31 marca br. W nocie znajdowała się również sugestia, że zachodzi możliwość wycofania armii brytyjskiej z Grecji przed upływem 3 miesięcy.

Reakcja amerykańska wobec tego kroku brytyjskiego była natychmiastowa. Prezydent Truman zwołał konferencję w Białym Domu, na której sekretarz stanu generał Marshall poinformował przywódców Partii Republikańskiej i Demokratycznej o niezmiernie poważnej sytuacji w Grecji, wytworzonej na skutek ewentualnego wycofania się ekonomicznego i militarnego Wielkiej Brytanii. Bezpośrednim następstwem tego kroku byłoby opanowanie Grecji przez komunistów, a co za tym idzie wejście Rosji bezpośrednio do obszaru wschodniego Morza Śródziemnego. Niepodległość Turcji byłaby tym samym podminowana, a z drugiej strony taki rozwój wypadków nie mógłby również zostać bez wpływu na sytuację we Włoszech, a nawet Francji.

Jeśli sądzić z głosów prasy amerykańskiej, argumentacja Marshalla, który żądał natychmiastowej pomocy ekonomicznej dla Grecji, znalazła przychylne przyjęcie wśród przywódców Kongresu. Nawet senator Taft, jeden z kandydatów republikańskich na przyszłego prezydenta i przywódca kierunku "neoizolacjonistycznego" w ramach Partii Republikańskiej, po wstępnym oporze przeciwko angażowaniu się Ameryki w sprawy odległej Grecji oświadczył, że w tej sprawie "trzeba coś zrobić".

To "coś" jest niczym innym jak przyjęciem pełnych zobowiązań polityki amerykańskiej wszędzie tam, gdzie wymagają tego interesy polityczne i militarne Stanów Zjednoczonych. Opinia publiczna w Ameryce niewątpliwie była świadoma roli Stanów Zjednoczonych w obecnym i przyszłym układzie światowym. Dopiero jednak nota angielska w sprawie Grecji uświadomiła w całej pełni politykom i przeciętnemu obywatelowi amerykańskiemu, że jeśli się jest wielkim mocarstwem, trzeba mieć własną politykę, i to politykę światową.

W związku ze sprawą Grecji przed polityką amerykańską stanęło zagadnienie nowe, a mianowicie, co należy uczynić na tych obszarach, w których dotąd dominowały wpływy angielskie. Wielka Brytania bowiem, osłabiona gospodarczo z powodu wojny, weszła na drogę ograniczenia swoich zobowiązań międzynarodowych i skupienia swoich rozproszkowanych sił na terenach najważniejszych z punktu widzenia militarnego i ekonomicznego. Powstającą w ten sposób próżnię ktoś musi wypełnić: może to uczynić bądź Rosja bądź Stany Zjednoczone.

Znany komentator radiowy Walter Lippmann, przyjmujący na siebie od pewnego czasu rolę geopolityka amerykańskiego, wysuwa hipotezę, że dotychczasowa polityka angloamerykańska, starająca się powstrzymać ekspansję rosyjską poprzez wspomaganie oporu przeciwko niej wzdłuż całego przedpola od Mandżurii i Korei, poprzez Bliski Wschód, Bałkany i Europę Środkową — zawiodła. Że wobec tego zamiast przeciwstawiać się Rosji w każdym punkcie wzdłuż jej rozległych granic, trzeba się oprzeć potędze sowieckiej w punktach kluczowych, którymi są Niemcy i Europa Zachodnia, Turcja oraz Japonia. Według Lippmanna "miejscem, gdzie należy położyć kres bandom greckim, szkolonym i uzbrojonym w Jugosławii — jest Moskwa".

Niezależnie od tego, czy sekretarz stanu Marshall skorzysta w Moskwie z rad Lippmanna, czy nie, nie ulega wątpliwości, że polityka amerykańska wchodzi w nowy okres. Incydent grecki, sam już w sobie ważny, ujawnił ponadto ostatnią fazę procesu o wiele głębszego: formowania się polityki i odpowiedzialności "globalnej" — żeby użyć popularnego wyrażenia amerykańskiego — Stanów Zjednoczonych we współczesnym świecie.

Oświadczenie prezydenta Trumana — ogłoszone już po napisaniu powyższych uwag — potwierdza całkowicie wyrażone w nich przewidywania. Znaczenie tego oświadczenia dla rozwoju sytuacji międzynarodowej omawiamy w artykule wstępnym.

W DWA LATA PO DYSKUSJI "JAŁTAŃSKIEJ" W IZBIE GMIN

Debata zagraniczna, która odbyła się w Izbie Gmin w dniu 27 lutego r.b. bezpośrednio przed wyjazdem ministra Bevina do Moskwy, oświetliła szczególnie wymownie obecny stan sprawy polskiej. Była to pierwsza dyskusja na temat polityki zagranicznej w Parlamencie brytyjskim od czasu osławionych "wyborów" w Polsce dnia 19 stycznia r.b. i od czasu, gdy w dniu 3 lutego przedstawiciel rządu brytyjskiego, wiceminister Mayhew, w odpowiedzi na zapytania paru posłów stwierdził wyraźnie, że wprawdzie wybory tak przeprowadzone nie odzwierciadlają stanowiska narodu polskiego, ale że dalsze kroki na ten temat w Moskwie byłyby ze strony brytyjskiej "bezcelowe". Uzupełnił to w dniu 19 lutego minister Bevin, oświadczając w odpowiedzi posłowi sir Thomasowi Moore'owi, że rząd brytyjski nie ma zamiaru cofnąć uznania obecnemu reżimowi warszawskiemu, gdyż "spowodowałoby to zerwanie naszych kontaktów z Polską w ogóle".

Oba oświadczenia były nader lakoniczne i nie mogły wywołać żadnej dyskusji, skoro stanowiły tylko odpowiedzi na zgłoszone pytania. Można było za to przypuszczać, że sprawa polska poruszona zostanie obszerniej, kiedy izba Gmin zebrała się na debatę zagraniczną — prawie dokładnie w dwa lata po owej pamiętnej debacie z końca lutego 1945 r., kiedy zgłoszony został wniosek, skierowany przeciw decyzjom jałtańskim, i kiedy ze strony kierowników ówczesnego rządu koalicyjnego padły w sprawie polskiej stanowcze i niedwuznaczne zapewnienia.

Stało się inaczej. W debacie z d. 27 lutego tylko dwoje posłów: Bing i pani Manning poświęciło więcej uwagi sprawie polskiej. Oboje należą do lewego, prokomunistycznego skrzydła Partii Pracy i oboje też przemawiali w duchu, jakiego można było się po nich spodziewać. Tak np. poseł Bing oświadczył szczerze, że obecni władcy Polski chcą zrobić z niej "państwo socjalistyczne lub, jeśli Panowie wolą, komunistyczne" (*a Socialist, or, if you like, a Communist State*) i "zabiegają o osiągnięcie bliższej unii Polski ze Związkiem Sowieckim" (*a closer union with the Soviet Union*). Dążąc do tego — argumentował poseł Bing — natrafiają na przeszkody ze strony tego co uważają za drobną mniejszość (!), stojącą do nich w opozycji i gotową do przeciwstawiania się im zbrojnie. "Słusznie czy niesłusznie podejrzewają oni tych ludzi o prowadzenie owych operacji z terytoriów poza granicami Polski, i wierzą, że ludzie ci byliby gotowi dla rozwalenia państwa posłużyć się maszynerią demokratyczną, gdyby im na to pozwolono".

W taki to sposób poseł Bing uzasadniał likwidację niepodległości Polski — sposób, który zadziwić musiał nawet przywódców reżimu warszawskiego, którzy z pewnością nie uważają oponentów tego reżimu w Polsce za "drobną mniejszość" i nigdy tego nawet w swych enuncjacjach ani w swej prasie nie twierdzili.

"MIGHT IS RIGHT"

Poza tym wszyscy mówcy starannie unikali sprawy polskiej; milczeli o niej nawet posłowie, znani ze swych dawniejszych wystąpień na rzecz wolności Polski i z pytań, zadawanych w tej sprawie przedstawicielom rządu. Widocznie nie sądzili, by wystąpienia ich mogły odnieść jakikolwiek skutek. Na debacie decydujące piętno wycisnęła zbliżająca się konferencja moskiewska, kłopoty w Indiach i Palestynie, ciężkie położenie gospodarcze, w jakim W. Brytania się znalazła. Żaden z posłów nie mówił tym razem o Stanach Zjednoczonych Europy, czy zespole państw zachodnio-europejskich; panowała najwidoczniej cicha zgoda co do tego, że tak niedawno jeszcze szeroko propagowana koncepcja churchillowska jest "nie na czasie" i że jej dalsze lansowanie stanowiłoby dla Bevina tylko przeszkodę w jego rozmowach w Moskwie.

O położenie krajów Europy Środkowo-Wschodniej zatrąciło w debacie tylko dwóch mówców: p. Philip Price z Partii Pracy, który niedawno odbył podróż do Związku Sowieckiego i na Półwysep Bałkański i zamieścił na ten temat szereg artykułów w *Manchester Guardian*, oraz p. Beverley Baxter, poseł konserwatywny z dzielnicy londyńskiej Wood Green, zarazem krytyk teatralny. Poseł Price podkreślił z ubolewaniem, że Rosja wtrąca się do spraw wewnętrznych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, posługując się miejscowymi partiami komunistycznymi i policją do wpływania na wynik wyborów w tych krajach, — wyraził jednak opinię, że W. Brytania nie może na to nic poradzić i że jej wpływ w tej części kontynentu europejskiego może być tylko moralny.

Dosyć niespodziewane było wystąpienie p. Beverleya Baxtera. Zaznaczywszy, że Rosja była w ciągu swej historii wielokrotnie najeżdżana od zachodu i wschodu, wyraził ubolewanie z powodu sposobu, w jaki "państwa satelickie" są traktowane przez Sowiety, znalazł jednak na to słowa pełnego usprawiedliwienia. Zdaniem jego trudno się dziwić, iż Rosjanie mówią: "Ukrócimy teraz wolność tych krajów, zabierzemy się do nich i uzależnimy je od siebie; w ten sposób wreszcie będziemy spotykali tygrysa w jego własnym legowisku" — skoro ciągle jeszcze jest 70 milionów Niemców.

Rozumowanie takie prowadzi prosto do uznania zasady *Might is Right* (po polsku

brzmi to: siła przed prawem), w myśl której tylko silni mają prawo do dbania o zabezpieczenie swej egzystencji i swych interesów — choćby nawet miało się to odbyć kosztem wolności i życia słabszych. Z przemówienia p. Baxtera wynika bowiem, że Rosja jest dla zapewnienia swego bezpieczeństwa usprawiedliwiona we wszystkim, łącznie z pozbawieniem niepodległości Polski i krajów sąsiadujących,— Polska zaś, znajdująca się w położeniu od Rosji jeszcze znacznie niebezpieczniejszym, nie ma nawet prawa do zachowania swego niezależnego bytu państwowego i narodowego.

Z tego rodzaju nieprawdopodobną doktryną, zdawałoby się należącą do dawno minionych epok historii, spotykamy się niestety od lat kilku bardzo często. Czymże innym było podkreślanie przez polityków anglosaskich od czasu Teheranu, że Rosja ma prawo domagania się od Polski "przyjaznego rządu", choć jądro zagadnienia leżało w tym, by właśnie rząd rosyjski porzucił swe nieprzyjazne i zaborcze wobec narodu polskiego stanowisko? Polityka przyjaźni i poszanowania rzeczywistej niepodległości Polski i krajów sąsiednich ze strony Rosji byłaby zarazem najlepszą rękojmią jej bezpieczeństwa od strony Niemiec.

Niestety, zasada *Right is Might* stosowana jest w stosunku do Polski przez różnych polityków i publicystów z zadziwiającą konsekwencją — w najrozmaitszych postaciach. Tak np. publicysta londyńskiego *Observera*, pisujący pod kryptonimem *Student of Europe*, wypowiada się w numerze tego pisma z dnia 9 marca r.b. za zwrotem Niemcom ich prowincji wschodnich, odzyskanych przez Polskę, — z tym jedynie uzasadnieniem, że Niemcy, naród liczny i silny, z utratą tych ziem nigdy się nie pogodzą. "Być może jest prawdą — pisze *Student of Europe* —, że znajdujemy się w niewygodnej pozycji moralnej wobec Polski w tej sprawie, skoro pod przymusem (*under duress*) zgodziliśmy się na odcięcie jej obszarów wschodnich; być może jest prawdą, że posunęliśmy się już niebezpiecznie daleko w kierunku stworzenia "faktów dokonanych", pozwalając na wypędzenie milionów Niemców z ich siedzib". Ale "ze wszystkich decyzji, jakie zostały teraz poczynione, ta właśnie najprawdopodobniej doprowadzić może do nowej wojny".

To ostatnie twierdzenie jest w sposób oczywisty niesłuszne; u podłoża przyszłego konfliktu będą leżały na pewno przyczyny natury znacznie bardziej globalnej niż los omawianych obszarów, których utrata, nawiasem powiedziawszy, podcina właśnie bardzo poważnie potencjał militarny Niemiec. Niezależnie jednak od tego moralne implikacje recepty, proponowanej przez publicystę *Observera*, są jasne, podobnie jak jasnymi były w poprzednio omawianych wypadkach: gwoli dogodzenia apetytom silniejszych sąsiadów i zapewnienia światu świętego spokoju, Polska winna się wyzbyć swych ziem wschodnich, swych ziem zachodnich, swej niepodległości, swych własnych urządzeń ustrojowych, całego swego dorobku historycznego i swej duchowej indywidualności. Wtedy dopiero zapewne (ale nie na pewno) zapanuje *a sound and lasting peace* . . . .

WYSTĄPIENIE LORDA VANSITTARTA

Nie wszyscy oczywiście podzielają te, tak niezwykłe nawet w obecnym okresie dziejowym, poglądy. Na posiedzeniu Izby Lordów w dniu 10 marca lord Vansittart, stwierdziwszy pogwałcenie Karty Atlantyckiej oraz umów z Jałty i Teheranu, domagał się, aby sprawa polska, w szczególności zaś sprawa "wyborów" z dnia 19 stycznia r. b. przekazana została Organizacji Narodów Zjednoczonych. Poparli go w tym żądaniu zastępca przywódcy opozycji lord Swinton oraz lord Derwent. Przedstawiciel rządu lord Pakenham wyraził jednak pogląd, że nie należy obciążać O.N.Z. sprawą polską, gdyż mogłoby to zagrozić istnieniu tej organizacji w chwili, gdy zaczyna być ona pożyteczna. Poza tym zdaniem lorda Pakenhama Wielka Brytania jest za słaba, by móc zaważyć skutecznie na losach Polski.

Trudno się zgodzić z obu tymi sądami. Organizacja Narodów Zjednoczonych, która będzie przechodziła obojętnie do porządku nad brutalnym ujarzmianiem całych narodów przez własnych jej członków, minie się na pewno ze swymi podstawowymi założeniami i może być co najwyżej na pewien czas narzędziem chwiejnego i wysoce niemoralnego *balance of power*. Co się zaś tyczy W. Brytanii, to jesteśmy głęboko przekonani, że zachować będzie ona mogła swą pozycję jednego z czołowych mocarstw świata tylko jako stanowcza i nieprzejednana orędowniczka wolności narodów i zasad moralnych w polityce międzynarodowej.

Postawa taka niekoniecznie prowadzić musi do wojny. W parę dni po debacie w Izbie Lordów ukazał się w *Daily Telegraph*'ie list lorda Vansittarta, który zarzeka się od przypisywania mu poglądu, że wojna jest bliska, zaznacza jednak, że w atmosferze ciągłego łamania traktatów międzynarodowych łatwo dojrzeć mogą w ciągu najbliższego ćwierćwiecza procesy, które doprowadzą ostatecznie do konfliktu. Co do nas sądzimy, że czas, w którym będzie musiało nastąpić wyjaśnienie sytuacji, zwłaszcza jeśli chodzi o wolność Polski i narodów Europy Środkowo-Wschodniej, nadejść musi znacznie wcześniej. Im prędzej kierownicy wielkich mocarstw zdadzą sobie sprawę ze zgubnych stron dzisiejszego stanu rzeczy, im prędzej dadzą temu wyraz w praktycznej polityce, tym większe są szanse, że da się i bez wojny przeprowadzić niezbędną naprawę.

STOSUNEK DO PRACY

Kryzys psychiczny, jaki od pewnego czasu ogarnął społeczeństwo polskie na emigracji, w znacznym stopniu obezwładnia wolę działania nawet w koniecznych sprawach życiowych. Dzieje się to zarówno w społeczeństwie cywilnym, jak i — o wiele silniej — w wojsku. Przyczyn omawianego zjawiska nie będziemy na tym miejscu analizować, niektóre z nich porusza autor artykułu "Będziem Polakami". Nam, jak i każdemu zdrowo myślącemu człowiekowi, zależy na otrząśnięciu się społeczeństwa wychodźczego i na pozytywnym ustosunkowaniu się do jego własnych potrzeb.

Jeśli mamy spełnić zadania, dla których zostaliśmy na obczyźnie, to trzeba zacząć od uporządkowania najbliższego świata, własnego życia. Coraz żywsze dyskusje w parlamencie brytyjskim, częściowe angażowanie Polaków do pracy, nieukrywany ciężar położenie ekonomicznego W. Brytanii — pozwala stwierdzić, że sztuczny okres zamykania pracy przed Polakami zaczyna mijać. Ta zatem strona kryzysu, która w sposób zrozumiały wpłynęła na apatię Polaków — powinna się niedługo skończyć.

Pozostają zjawiska, które są już naszą sprawą wewnętrzną. Z obserwacji tych zjawisk na czas najbliższy wysuwa się kategoryczny postulat stanięcia przez bezczynne społeczeństwo polskie, wegetujące po obozach wojskowych i cywilnych, do pracy, która stworzy podstawy do normalnego życia, a z nim do realizowania naszych zadań. jakich od emigracji oczekuje kraj naród. Czas nadchodzący zakończy chaotyczny z natury okres organizacyjny PKPR-u; uchwalony Bill w sprawie osiedlenia się Polaków, mimo całej jego niedoskonałości, da oparcie prawne w uaktywnieniu tysięcznych rzesz polskich dla ich własnego dobra, nie wyłączając pożytku kraju, z którego gościnności korzystamy.

Ostatni czas zakończyć "nocne Polaków rozmowy", gromadzenie mniej lub więcej słusznych żalów i rozczarowań — a rozpocząć cywilną walkę o własne życie. Nie będzie ono łatwe. Pod tym względem nie trzeba mieć złudzeń. Nigdzie na świecie ludziom pozbawionym życia w swoim państwie łatwo nie było i nie jest. Traktując w dalszym ciągu nasz pobyt zdala od kraju jako część długiej walki o jego elementarne prawa — nie możemy dać się zepchnąć do roli "rynku siły roboczej". Utrzymując zwartość społeczną — zachowujemy i gromadzimy siłę, która narodowi naszemu będzie w przyszłości tak bardzo potrzebna.

Obecny moment krytyczny dla psychiki wychodźczej jest w całej pełni i z największym cynizmem wykorzystywany przez wrogów, którzy stan bezczynności przedstawiają jako "stabilizację rozkładu emigracji". Działają w ten sposób nie tylko na tych najmniej wartościowych, lecz i na tych, którzy w dalszym ciągu siły własne pragną poświęcić ojczyźnie. Zrozumienie tej strony zagadnienia, poważne zastanowienie się każdego nad istotą sprawy pozwoli otrząsnąć się z bierności i oczekiwania na najlżejszy ze wszystkich losów, jakie przyszłość gotuje.

Jesteśmy głęboko przekonani, że społeczeństwo polskie w W. Brytanii po przejściowym "kryzysie", tak bardzo — powtarzamy — zrozumiałym, stanie jeszcze raz do tej samej walki, którą prowadziło z bronią w ręku przez długi czas wojny.

Czynny stosunek do pracy będzie dla nas początkiem nowego etapu.

PAN RZEPECKI, JEGO POGLĄDY I PROCES

Umyślnie nie zabieraliśmy głosu w poprzednim numerze *Myśli Polskiej* na temat procesu p. Rzepeckiego, byłego pułkownika Wojsk Polskich, obecnie czerwonej armii p. Żymirskiego. Obserwowaliśmy za to bardzo uważnie zarówno sam proces, jak to, co o nim pisano i mówiono zarówno w kraju, jak i na emigracji. Ponieważ obrońca na sali sądowej w tym systemie procesów miał niewiele do roboty, swego rodzaju "obroną" p. Rzepeckiego zajęły się zarówno same czynniki reżimowe na łamach prasy, jak — po procesie — pewne czynniki emigracyjne, także na łamach prasy. Przed zakończeniem tego spreparowanego od początku do końca procesu — nieraz pojawiały się głosy, pełne "bólu i troski", głosy wyrozumienia, zapowiadając między wierszami, że takim panom, jak p. Rzepecki nic złego się nie stanie. Bo błądzili "nad brzegiem przepaści", bo w gruncie rzeczy byli uczciwi na sposób uczciwości bolszewickiej.

A za granicą. . . . To potem. Najpierw sam proces, pokajanie się p. Rzepeckiego, Sanojcy i reszty. A może jeszcze wcześniej — bo to będzie najbardziej zrozumiałe i tłumaczące wiele rzeczy, które nawet na procesie nie zostały powiedziane.

Pan Rzepecki za czasów okupacji niemieckiej miał funkcję bardzo ważną. Stał na czele Oddziału Armii Krajowej, oddziału, którego zadaniem było formować moralną stronę żołnierza tej tak trudnej walki, jaką była walka podziemna. Oddział, któremu dowodził pan Rzepecki, miał obowiązek nieustannego pilnowania, żeby wojna, prowadzona każdą dostępną

metodą, pozostała dla duszy Polaka — wojną świętą, o najważniejsze sprawy Polski i tego, co ona reprezentuje. BIP i jego propaganda, jego informacja, prasa, książki, broszury, podręczniki, kursy i odprawy — jego ludzie wreszcie — mieli dawać Armii Krajowej taki sam styl życia, jakim Wojsko Polskie wszędzie, na wszystkich frontach było przepojone w bitwach. Pan Rzepecki, jego instrumenty działania, jego niektórzy ludzie wreszcie, znacznie odbiegli od tego wspólnego walczącym Polakom stylu, który mimo wszelkie "unowocześnienia", pozostał stylem chrześcijańsko-rycerskim. BIP natomiast usiłował zamienić Armię Krajową na swoiście pojętą armię "ludową," nazywając ją "demokratyczną" i narzucając poglądy specyficzne dla demagogii takich armii. Trzeba było wziąć do ręki broszury i pisma, żeby się człowiekowi szeroko otworzyły oczy ze zdziwienia i czasem — przerażenia. Były w tych książkach i takie rzeczy, jak np. uwaga, że religia jest czynnikiem hamującym odwagę żołnierza na froncie; wśród wymienionych czynników wychowawczych religia kroczyła gdzieś na szarym końcu; wystarczy przypomnieć odprawy, na których dyskutowano czy można będzie w świetlicach żołnierskich zawiesić krzyże; przychodzą także na myśl liczne dyskusje z pewnymi ludźmi BIP-u, którzy do ostatka stwierdzali, że w interesie Polski nie leży walka z komunizmem, lecz tylko z Rosją.

Dlatego też w kołach bliskich panu Rzepeckiemu najbardziej nie cierpiano wszystkiego, co narodowe. Wszyscy, którzy przez te lata wojny byli w Narodowej Organizacji Wojskowej, pamiętają dobrze *bezpartyjną* politykę pana Rzepeckiego, dążącą do zatarcia ideologicznej granicy między tym, co z najgłębszej swej istoty było polskie, a tym co nie było polskie, lub raczej co było antypolskie. Popieranie t.zw. "palowców", politycznej i wojskowej organizacji, będącej dywersją w niezależnym polskim socjalizmie, współpraca z tymi czynnikami — oto przedprocesowa droga pana Rzepeckiego, która dla wszystkich, którzy ją obserwowali, była właśnie "drogą nad przepaścią". W przepaść tę runął Rzepecki natychmiast po swoim uwięzieniu. Po co nadal ukrywać to, co było wiadome już od roku przeszło, że pan Rzepecki został już "spreparowany" zaraz na drugi czy trzeci dzień po swoim uwięzieniu. Że agenci Bezpieki poszli jak w dym po jego organizacyjnych śladach. Tak było. A proces — to raczej czerwony wiec, na którym jak na "ludowej" akademii pod portretami Bieruta i Stalina zarzucono błotem ową prawdziwą i świętą legendę Polski Walczącej, jej najprawdziwszy styl walki życia i śmierci, wytrzymywania najstraszliwszych tortur w Gestapo, przeżywania koszmaru obozów koncentracyjnych. No to razem z prokuratorem bolszewickiej sprawiedliwości, z sędziami i współtowarzyszami rzucał swoją, przepisaną część Rzepecki — człowiek, który miał kierować duszą podziemnej armii.

Dziś, ułaskawiony, przywrócony znów do "konstruktywnego" życia, zajmie dla siebie miejsce najwłaściwsze. Szkoda tylko, że był, szkoda, że tego zapomnieć nie można — bo to naprawdę wstydliwa strona pamięci.

Jakiekolwiek porównywanie procesu Rzepeckiego i towarzyszy z procesem moskiewskim — jest najbardziej niesłuszne i dla ludzi sądzonych w Moskwie ubliżające. Tamte "załamania" leżały w granicach normalnych ludzkich reakcji. Tam mówiono także jak przystało na dowódców i przywódców. Tu, w Warszawie tylko jeden — Gołębiowski — dotrzymał kroku żołnierzowi. Reszta — podniosła ręce na pośmiewisko dla wszystkich, którzy się nie ugięli, ku odrazie samych "zwycięzców".

ZAMAZYWANIE KONTURÓW

Na łamach warszawskiego tygodnika *Dziś i Jutro*, któremu mieliśmy okazję poświęcić kilka uwag w styczniowym zeszycie *Myśli Polskiej*, Stefan Kisielewski występuje w artykule p.t. "Lewica, opozycja, emigracja" (patrz numer z dn. 1-6 stycznia r.b.) z dosyć niespodziewanym atakiem na emigrację polską na Zachodzie. Wysuwa najpierw twierdzenie, że "Polacy na emigracji stworzyli środowisko polityczne, negujące całkowicie, w stu procentach, dzisiejszą rzeczywistość w kraju"; w dalszym zaś ciągu artykułu wypowiada pogląd, że emigracja powinna dobrowolnie się zlikwidować, gdyż jej obecność i działalność na Zachodzie "budzi nieufność naszego wschodniego sąsiada" i przeszkadza w prze-konaniu Rosji, "że mamy szczerą, dobrowolną i przemyślaną wolę trwać nią z w sojuszu i pokoju".

Nie trzeba podkreślać, że pierwsze z tych twierdzeń dalekie jest od rzeczywistości. Emigracja polska — podobnie jak olbrzymia większość społeczeństwa polskiego w kraju — odnosi się negatywnie do narzuconego Polsce z zewnątrz reżimu, do obcych pojęć i urządzeń, w jakie próbuje on wtłoczyć życie narodu, do niewoli politycznej i gospodarczej. Równocześnie jednak stosunek jej do osiągnięć samego społeczeństwa polskiego w dziedzinie kulturalnej, gospodarczej, czy moralnej jest na wskroś pozytywny, pełen uznania i podziwu. Sugerowanie, że jest inaczej, dowodziłoby, iż Kisielewski pozbawiony jest wszelkich informacji, że nie ma nawet możności przeglądania prasy emigracyjnej, — trudno bowiem przypuścić, by ten uczciwy i poważny publicysta świadomie występował z twierdzeniem, w które sam nie wierzy.

Drugiemu twierdzeniu, a raczej sugestii, o konieczności "likwidacji" emigracji polskiej na Zachodzie — przeczyć musi już sama analiza obecnego położenia, w jakim Polska się znajduje. Nie chcemy na tym miejscu wdawać się w obszerniejsze na ten temat rozważania i ograniczamy się do przytoczenia jednego tylko aspektu zagadnienia. Jakaż byłaby w danym wypadku sytuacja sprawy polskiej, gdybyśmy na Zachodzie zostawili zupełnie wolne pole grze odrodzonych ambicji niemieckich, tak silnie dziś z różnych stron popieranych? Jakaż byłaby nasza sytuacja w kierowniczych kołach Kościoła Katolickiego, będących również obiektem coraz usilniejszych zabiegów czynników niemieckich?

Politycy sowieccy wiedzą doskonale, dlaczego na Zachodzie istnieje i działa polityczna emigracja polska i legalne władze Rzeczypospolitej. Wiedzą oni, że gdyby Rosja zdecydowała się przywrócić Polsce wolność, nie byłoby w ogóle zjawiska emigracji — genezą bowiem emigracji nie jest, wbrew wszystkim kłamliwym sloganom i hecom propagandowym, wrogość wobec narodu czy państwa rosyjskiego. Doktrynerzy sowieccy chcą jednak umodelować Polskę na swą modłę — i nic do tej pory nie świadczy, by z zamiaru tego zrezygnowali. Przeciwnie, wszystko pozwala oczekiwać, że po ponurej maskaradzie "wyborczej" dokonane zostaną nowe posunięcia w kierunku upodobnienia urządzeń ustrojowych i społecznych Polski do wzorów sowieckich — i że wkrótce po tym przyjdzie kolej na dalsze etapy, wypracowane i ustalone w moskiewskim "Politbiurze".

W tej sytuacji byłoby chyba samobójczym szaleństwem, gdyby naród polski zrezygnował z zachowania wolnych ośrodków swej myśli i działania, głoszących światu prawdę o sytuacji w kraju i uruchamiających wszelkie możliwe siły w obronie naszej narodowej indywidualności i niepodległości.

W tymże samym tygodniku *Dziś i Jutro*, w numerze z dnia 19 stycznia, p. Bolesław Piasecki roztacza swe poglądy na kryzys, przeżywany dziś przez Europę. Zdaniem jego Zachód znajduje się w stanie pełnego rozkładu; emigracja polska również "uległa powszechnej bezpłodności duchowej Zachodu". Jakież z tego wyjście? Artykuł nie wypowiada się w tym zakresie zbyt wyraźnie; rozwiązanie widzi jednak w jakimś bliżej nieokreślonym oddziaływaniu katolików na marksistów (t.j. komunistów, w tym bowiem wyłącznie znaczeniu słowo "marksizm" używane jest obecnie w publicystyce krajowej). Katolicyzm — zdaniem p. B. Piaseckiego — ma "system normatywny", opierający się bezpośrednio o prawdy religii i doskonale przekonywający,— natomiast myśl katolicka, pojęta jako system eksplikatywny, tłumaczący jak świat istnieje, ma "zasadnicze braki" — w szczególności, jak dotąd, nie posiada "wielkiej współczesnej konstrukcji filozoficznej". Marksiści na odwrót: "posiadają wykończoną całkowicie, często uwodzącą swą logiką, metodę wyjaśnienia wszystkiego, co się na świecie dzieje", natomiast "marksistowski system motywacji etycznych postępowania jednostek i społeczeństw jest dużo mniej konkretny". Filozofia marksistowska nie mówi, "dlaczego należy kochać bliźniego, jakie są sprawdziany w postępowaniu dobra, piękna, prawdy". Nic bardziej nie zbliży marksitów do katolicyzmu — konkluduje p. B. Piasecki — jak stworzenie przez myśl katolicką "doskonalszej metody wyjaśniania biegu rzeczy na świecie".

Nawoływania do pogłębienia myśli katolickiej i przez to oddziaływania ideowego na komunistów są niewątpliwie chwalebne — na razie jednak na łamach tygonika *Dziś i Jutro* widzimy proces wręcz odwrotny: stałego cofania się z zasadniczych pozycji, jakie myśl i cywilizacja katolicka wypracowały w ciągu wieków. Weźmy np. dziedzinę społeczno-gospodarczą. Nikt nie neguje konieczności daleko idących w tej dziedzinie reform i przekształceń w Polsce. Niemniej grupa *Dziś i Jutro* bezkrytycznie przyjmuje "reformy" i schematy narzucone przez obecny reżim komunistyczny (a opracowane niewątpliwie poza granicami Polski), — choć "reformy" te i sposób ich przeprowadzenia są często w jaskrawej sprzeczności ze wskazaniami, płynącymi z katolickiego poglądu na świat. W tym zakresie darmo byśmy szukali w *Dziś i Jutro* jakichś krytycznych zastrzeżeń czy sformułowań. Wszystko, co znajdujemy, to słowa stuprocentowego, czołobitnego afirmowania dokonanej "rewolucji".

Podobnie jest w innych dziedzinach. Jakże przy takiej postawie rozwijać można myśl katolicką i oddziaływać na "marksistów"? Tym bardziej nie pomogą w tym przedziwnie naiwne sugestie, że "marksiści" w gruncie rzeczy operują podobnymi w treści pojęciami moralnymi, co katolicyzm, i że wyznają zasadę "miłości bliźniego". Niedaleko się zajedzie takim zamazywaniem wszelkich konturów rzeczywistości, ale narobić się może dużo szkody we własnym społeczeństwie.

ZBIÓRKA NA RZECZ POLAKÓW W NIEMCZECH TRWA NADAL

Ofiary pieniężne przyjmuje Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech: Biuro — 35, Cambridge Gardens, London, W.10. Tel.: LAD 1235/6.

Dary w naturze (odzież, bielizna, obuwie, książki i t.p.) składać należy w składnicy Komitetu, 19, *Redcliffe Square, London, S.W.*10. Tel.: FLA 4165 (godz. 11-1 i 3-6 pp.).

ZŁY POCZĄTEK

OBOK niezmiennych, żelaznych praw społecznych, pociągających za sobą konieczność określonego działania i metod, są także stany przejściowe, wymagające zastosowania metod, które nie są ani typowe, ani konieczne w innych sytuacjach.

Trudno jest ze zjednoczenia narodowego czy społecznego robić program i dla tego programu budować trwałe instytucje. Natomiast nie trudno wyobrazić sobie sytuacje, w których konsolidacja wysiłków dać może o wiele szybciej i o wiele poważniejsze rezultaty, niż wtedy, gdy dla osiągnięcia konkretnego celu inicjatywa i jej realizacja iść będą całkowicie różnymi drogami.

Analiza położenia emigracji polskiej w W. Brytanii, stan psychiczny tak społeczeństwa w mundurach, jak i cywilnego — nasuwa wniosek o konieczności zespolenia różnych wysiłków dla zapewnienia tutejszej emigracji startu życiowego w nowych, powojennych warunkach. I w tej dziedzinie zjednoczenie nie jest żadną ideą, ani programem, jest jedną z metod. Wydaje się, że w obecnym położeniu — metoda ta jest najlepsza. Zadania obecne są niemałe, jeśli się zważy cel główny, dla którego pozostaliśmy na obczyźnie.

Ten właśnie główny cel naszego trwania każe w sposób dla nas korzystny rozwiązać proste wymagania życia: wychowania, pracy, praw i obowiązków każdego Polaka. Wiemy doskonale, że część tych spraw będzie załatwiana przy ograniczonym głosie zainteresowanych, część jednak zależeć będzie w dużej mierze od naszej postawy. Im bardziej postawa wobec tych zagadnień będzie powszechna i jednolita, tym większe szanse i wagę może mieć głos polski.

Z tych względów uważnie obserwowaliśmy przygotowania do pierwszego kongresu Polaków w W. Brytanii, to jest w tym kraju, gdzie nasza obecność miała w ostatnich latach tak bardzo zasadnicze znaczenie dla całego walczącego o swe prawa narodu polskiego. W poprzednim zeszycie *Myśli Polskiej* daliśmy wyraz naszym troskom o losy tego pierwszego kongresu, mając w pamięci wcale nie najlepsze wzory ze zjazdu w Brukseli. Zastrzeżenia nasze i obawy szły po linii zapewnienia powstającej organizacji najważniejszego wymogu — powszechności, reprezentowania interesów rzeczywiście najszerzej pojętej społeczności polskiej w W. Brytanii, jak również po linii zapewnienia tej organizacji takich podstaw prawnych, które zabezpieczyłyby naczelne zadania i metody pracy. Z tego właśnie podwójnego punktu widzenia obserwowaliśmy przebieg zjazdu, odbytego w dniach 23 i 24 lutego w Londynie.

Podstawowe założenie tworzonej dla celów społecznych organizacji powszechnej — powstrzymania się Zjednoczenia od doraźnej akcji politycznej na rzecz osiągnięcia życiowych postulatów emigracji polskiej w W. Brytanii — uznaliśmy za rzecz słuszną. Liczyliśmy się jednak z wieloma trudnościami w tej dziedzinie, ponieważ dla nikogo nie było tajemnicą, że grupa organizacyjna i przygotowawcza miała charakter jednostronny politycznie. Wszystko zależało właśnie od społecznego wyrobienia tej grupy i od sprecyzowania przez nią hierarchii celów. Przebieg zjazdu nie tylko obaw naszych z tego zakresu nie rozproszył, ale przeciwnie spotęgował je znacznie.

To, co można byłoby zaliczyć na dobro kongresu: zgłoszenie wniosków w dziedzinie warunków pracy, oświaty i wychowania — było jedynie mniej lub więcej oczywistymi dezyderatami, o których urzeczywistnienie wszystkie organizacje i czynniki polskie mają obowiązek dbać i każde na swym odcinku dbają.

Swój najważniejszy egzamin zdawali organizatorzy w tych właśnie dwóch dziedzinach, które stanowić muszą o powodzeniu organizacji na najbliższą przyszłość: w objęciu zasięgiem swego działania najszerszego wachlarza społecznego polskich skupisk w W. Brytanii, oraz daniu tym członkom Zjednoczenia prawnych możliwości zbiorowego wysiłku dla osiągnięcia bezspornych celów. To właśnie uważaliśmy za punkty wyjściowe zjednoczenia emigracyjnego w płaszczyźnie społecznej.

Ani pierwszy, ani drugi dzień obrad nie posunął tych spraw w sposób choćby dostateczny.

O powszechność Zjednoczenia toczyła się walka na kongresie w momencie dyskusji nad przyjęciem związków regionalnych. Odpowiedni wniosek przedstawił kongresowi delegat Związku Dziennikarzy redaktor Rojek, znany dobrze społeczeństwu polskiemu działacz Związku Ziem Południowo-Wschodnich. Wniosek ten nie spadł bynajmniej w sposób nieoczekiwany na porządek dzienny obrad kongresu. Ze sprawozdania samych organizatorów zjazdu wynikało, jak wielką wagę społeczeństwo polskie, zrzeszone masowo w organizacjach regionalnych, przywiązuje do współudziału w decydowaniu tam, gdzie chodzi o całość spraw wychodźstwa, a więc i spraw nie posiadających charakteru doraźnie politycznego. Stwierdzono przed plenum kongresu, że na zwrócenie się organizacji regionalnych o przyjęcie do Zjednoczenia w jego stadium organizacyjnym nadeszła w ostatnich dniach przed zwołanym kongresem — odpowiedź odmowna, motywująca odmowę względami formalnymi.

Ciekawe jest, że w tych formalnych motywach odmowy organizatorzy postarali się uzasadnić swoją decyzję rzekomo niespołecznym charakterem związków regionalnych, mających — zdaniem organizatorów Zjednoczenia — ograniczać się do akcji politycznych. Bez odpowiedzi zostały odpowiednie cytaty ze statutu związków, w których akcja społeczna, samopomocowa, uwidoczniona jest w rzędzie innych zadań. Przemówienie red. Rojka na kongresie, nacechowane prawdziwą troską o powszechny charakter Zjednoczenia, znalazło głębokie zrozumienie wśród wszystkich obiektywnie nastawionych uczestników kongresu. Zepchnięcie tej sprawy przez organizatorów, dysponujących zamówioną i przygotowaną większością, na płaszczyznę wpływów politycznych świadczyło właśnie o politycznej niedojrzałości organizatorów Zjednoczenia społecznego. Niewiele, albo nic dobrego można się spodziewać po organizacji kadłubowej, której sen z powiek spędzać będzie zagadnienie wpływów jako motyw naczelny. Być może, że rozszerzenie grona inicjatorów przed kongresem o te właśnie proskrybowane związki zmieniłoby układ ilościowy głosów, natomiast pewne jest, że dodałoby poważnej z natury rzeczy sprawie — właściwej wagi gatunkowej. Gdy późnym wieczorem 23 lutego odpowiednio ubezpieczona większość spod znaku NID-u i przedwojennej "Naprawy" odrzuciła wniosek red. Rojka — nadzieja na społeczny jedynie charakter kongresu poważnie zmalała.

Bez większego zatem zdziwienia przyjmowaliśmy wystąpienia bardziej porywczych i mniej w grze politycznej zaawansowanych delegatów większości organizatorskiej, dzielących całość kongresu na "my" i "wy". Słowo "podejrzliwość" zjawiało się w dyskusji, która winna była właśnie usunąć wszelkie podejrzenia.

Druga sprawa zasadnicza — podstaw prawnych, na których Zjednoczenie miałoby się oprzeć w swej pracy, nie usunęła ani zwiększającej się podejrzliwości, ani tych obaw, które mieliśmy od samego początku. Z uporem, naprawdę godnym lepszej sprawy, tej dla której kongres został zwołany, broniono "dorobku" organizatorów w postaci projektu statutu; próbowano podrzędną kazuistyką przedstawić go jako obowiązującą już kodyfikację, której zmiana może być dokonana tylko kwalifikowaną większością.

Gdy takie wywody prawne spotkały się w dyskusji z argumentami zbyt mocnymi na ich utrzymanie, organizatorzy przez pewien czas obrad operowali całkowitą fikcją, polegającą na stwierdzeniu, że kongres obecny jest "już drugi", a pierwszy był wtedy, kiedy zaproszone organizacje zgodziły się przystąpić do prac Zjednoczenia. Fikcja ta jako zbyt sztuczna rozpłynęła się jakoś sama w dalszym ciągu obrad, co nie bez humoru stwierdził przewodniczący, prof. Stroński, sam przed chwilą podający ten dziwoląg prawny i faktyczny do wierzenia plenum zjazdu.

Nie wytrzymał też próby i sam statut, który odesłano do komisji statutowej, gdzie poczyniono liczne poprawki. Rzecz tylko w tym, że na poprawki zasadnicze, a wśród nich na jedną najważniejszą, organizatorzy nie wyrazili zgody i bronili popełnionego błędu tak samo wytrwale, jak uparcie nie dopuszczali do upowszechnienia się Zjednoczenia przez włączenie związków regionalnych. Ten jaskrawy błąd statutu leżał w cudacznym wprost systemie powoływania Rady Zjednoczenia. W myśl projektu organizatorów miała ona być wybierana z terna — z kandydatów przedstawionych przez wszystkie zrzeszenia w ilości podwójnej. Plenum kongresu (z zapewnioną i dobraną większością) miało wybrać najbardziej "odpowiednich", co w duchu tak pojętego Zjednoczenia oznaczałoby najprzyjemniejszych przynależnością grupową.

Wybrani przez kongres delegaci do Rady nie mogliby już być przez swe związki wycofani do końca kadencji Rady. W ten sposób na dłuższy czas byłby spokój od strony "dołów". Trzeba jeszcze dodać, że sam system wyboru stwarzał w zarodku przypadkowość i dowolność, ponieważ jasne jest, że jedna organizacja nie może znać delegatów drugiej ani z walorów społecznych, ani z kwalifikacji do tego ciała.

W żadnym razie nie mogła wystarczać znajomość potrzebnych delegatów jedynie przez "wtajemniczoną" stronę kongresu. Błąd był tak oczywisty, że poprawka, zgłoszona na komisji statutowej, otrzymała na plenum poważną większość głosów. Ponieważ jednak organizatorzy zjazdu ubezpieczyli się właśnie na taką ewentualność kwalifikowaną większością, potrzebną do zmiany obowiązującego w ich pojęciu statutu, — poprawka upadła.

To też wybory do Rady Zjednoczenia przedstawiały raczej temat do humorystycznego felietonu, niż do sprawozdania z przebiegu kongresu, mającego na celu zbyt poważne zadania, żeby je można było załatwić najwdzięczniejszym dowcipem. Faktem o wiele poważniejszym niż te przedziwne wybory było oświadczenie ze strony uprzednio współpracujących z kongresem związków, że od tej chwili zmuszone są wypowiedzieć swe zaufanie organizatorom i wycofać się ze zjazdu. Oficjalne takie oświadczenie złożone zostało ze strony dwóch organizacji, inne

KULTURA I ŻYCIE

Geniusz Hiszpanii — Powieść wiktoriańska — Pościg na ekranie — Libido tacendi — Goślicki i Łoziński

DWU cywilizacjom europejskim dane było odrodzić się poza macierzystym kontynentem na nowoodkrytym lądzie: angielskiej i hiszpańskiej. O tej pierwszej wie się i mówi bardzo dużo, problem amerykański jest bowiem centralnym problemem współczesnego świata. O hiszpańskiej wspólnocie narodów Południowej Ameryki myśli się ciągle jeszcze wedle kategorii reportażowych opisów podróżniczych, zawsze zabarwionych egzotyką a rzadko ścisłych. Tymczasem triumfalny pochód kultury hiszpańskiej poza Oceanem jest pochodem współczesności w kierunku przyszłości; jeszcze raz pokazuje historia jak działają jej prawa niebłagane, które narodom, mocarstwom i cywilizacjom wyznaczają daty narodzin i zgonu. W kręgu angielskim i hiszpańskim dojrzewa jutro.

Wystawa obrazów hiszpańskich w *The National Gallery* (do 23 marca) daje pojęcie o atrakcyjności i bogactwie tradycji hiszpańskiej. Bez tego wybuchu witalizmu w szesnastym i siedemnastym stuleciu rola Półwyspu Iberyjskiego nie urosłaby do znaczenia światowego. Wiek złoty, który wydał Calderóna i Góngorę, wydał także Velasqueza i rozwinął skrzydła Kreteńczykowi El Greco (Domenikos Theotocopulos, 1541-1614). Cudzoziemiec El Greco odnalazł siebie w ówczesnej atmosferze hiszpańskiej, nasyconej aktywnością; w dynamicznej linii jego rysunku, w plastyce zdecydowanych kontrastów, w baroku metaforycznego widzenia świata żyje mistyczny duch świętej Teresy i świętego Jana od Krzyża. Do El Greca wraca krytyk współczesnego malarstwa, tak jak krytyk współczesnej poezji musi wracać do Góngory.

Czy to w obrazie męki Chrystusa w Ogrójcu, czy w scenie wypędzania kupczących ze świątyni, czy wreszcie w twarzy świętego Piotra — wszędzie wyraża El Greco własny konflikt ze światem uznanych kształtów i barw: nie statyczny spokój kompozycji, ale żarliwy, wiecznie dziejący się ruch urzeka we wizjach tego niesamowitego geniusza.

U Velasqueza cierpliwa obserwacja natury, zgodność tematu z atmosferą tła, szlachetna dworskość i wytworna rezerwa cechują dzieła, przekazane sławie. W *National Gallery* można oglądać "Niepokalane Poczęcie", "Roznosiciela wody z Sewilli", portret Filipa IV, a przede wszystkim prześliczną Wenus z Kupidynem (wyrafinowane piękno ciała kobiecego jako kontrast w stosunku do odbicia twarzy w lustrze!)

Renesans i Barok zmieszały się w obrazach Murillo (motyw Syna Marnotrawnego), podczas gdy bogaty i zmienny w swej technice Goya (um. 1828), który wywarł wpływ na modernistów francuskich z końca dziewiętnastego wieku, reprezentowany jest na wystawie m. in. przez dość konwencjonalny "Piknik", ale także i przez niesamowitą scenę ze sztuki, oraz przez portret Antonii Zárate.

Poza tym znajdują się na wystawie obrazy renesansowego malarza Bermejo (1440—1495), Ribery, ucznia Ribalty, ("Dziewczyna z tamburinem") oraz Zurbarána.

Mimo zimna i złego oświetlenia tłumy widzów przechodzą przez salę hiszpańską w *National Gallery*. Wystawa ta należy obecnie do głównych atrakcji Londynu.

* * *

Czy kto widział już kiedy zeszytowe wydania "*Klubu Pickwicka*" Dickensa? (pierwsze wydanie 1836 do listopada 1837 r., każdy zeszyt po szylingu, tytuł w oryginale: *Pickwick Papers*). Jest teraz okazja obejrzenia różnych pierwszych wydań sławnych powieści wiktoriańskich na wystawie, urządzonej staraniem ruchliwej *The National Book League* (7, Albemarle Street). Niektóre ze sław okazały się sławami chwilowymi i teraz patrzą pstrymi okładkami i sensacyjnymi tytułami na obojętnego czytelnika. Ale Dickens, Thackeray i angielska Orzeszkowa, George Eliot (właściwe nazwisko: Mary Anne Evans) przekazali nam atmosferę o wiele trwalszą od kolorytu epoki: taka atmosfera nie wietrzeje, ani nie przesiąka naftaliną lat; dlatego też z nieudawanym wzruszeniem patrzymy na znajomą sylwetkę poczciwego Pickwicka, który filozoficznie odpoczywa na okładce zeszytowego wydania.

* * *

Wśród coraz mniej interesujących filmów amerykańskich, które swoimi mdłymi scenariuszami nie pozwalają na właściwą grę tak wielkim aktorom, jak Gary Cooper, Ingrid Bergman czy Gary Grant, wybijają się ostatnio filmy produkcji brytyjskiej, szczególnie arcydzieło reżyserskie (Carol Reed), zatytułowane *Odd Man Out*. James Mason gra w nim rolę ściganego przez policję przywódcy irlandzkiej organizacji podziemnej (w Belfaście); po kilku godzinach dramatycznej akcji, przez którą przewijają się rodzajowe typy (jak na przykład obłąkany malarz), bohater ginie razem ze swoją dziewczyną, która sprowokowała salwę policji, aby uniknąć grzechu samobójstwa.

Atmosfera walki podziemnej jest w filmie autentyczna; nienawiść, niezaradność i zwykłe tchórzostwo pobudzają lub paraliżują akcję ludzką; spiskowcy nie są tu tylko bohaterami, zamalowanymi jednym kolorem patosu, przeciwnie: słabość i nieudolność, czyhająca na nich w chwilach niebezpieczeństwa, dodaje im prawdziwych cech człowieczych: tak przecież wygląda życie, takimi zygzakami niepowodzeń posuwa się bohaterstwo.

Odd Man Out powinien szczególnie przypaść do gustu Polakowi, — znajdzie on w tym filmie dużo swych dzisiejszych wspomnień, myśli i mar sennych.

* * *

Kiedy czytamy w prasie krajowej o katolickim marksizmie, rozumiemy taktykę polityczną, kryjącą się za tym dziwolągiem światopoglądowym, ale nie możemy pojąć jak pracuje mechanizm sumienia pisarskiego. Gdzie strach graniczy ze słabością, a gdzie perfidia z głupotą?

W sumieniu człowieczym od wieków ważą się szale wiary i zwątpienia. Liryk polskiego szesnastego stulecia, Sęp-Szarzyński w swej świadomości katolickiej, że przyjąć walkę znaczy przyjąć możliwość klęski, napisał:

"Cóż będę czynił w tak straszliwym boju
Wątły, niebaczny, rozdwojony w sobie?"

Tak: co czynić?

Czasami przykładem moralnej aktywności piserskiej jest milczenie: niemy protest sumienia. Propagatorzy katolickiego marksizmu nie uznają tego rodzaju aktywności. Na szczęście istnieją jeszcze w Polsce pisarze, o których można powiedzieć za *Juvenalisem*:

"Raro sermo illis, et magna libido tacendi"

* * *

Na symptomatycznym tle naszym prawdziwie wartościowa publikacja, jak W. J. Stankiewicza, M.A. *The Accomplished Senator of Laurentius Goslicius* (Oficyna Warszawska Abroad, 1946, stron 40) wydać się może niektórym mało utylitarna, choć w istocie rzeczy jest wysoce użyteczna. Wychowanek uniwersytetu w St. Andrews napisał zwięzły i przejrzysty essay o Goślickim (1533? — 1607), który jako pisarz polityczny cieszył się w Anglii uznaniem w ciągu 16-ego, 17-ego i 18-ego wieku. Jego łacińskie dzieło *De Optimo Senatore*, opublikowane w Wenecji w 1568 r., trafiło do Anglii już w szesnastym stuleciu i doczekało się kilku przekładów, z których W. J. Stankiewicz obszerniej ocenia *The Accomplished Senator* z roku 1733. Essay daje sumienny wyciąg idei polskiego humanisty.

Wartościowa książeczka Stankiewicza została luksusowo wydana przez oficynę Anatola Girsa w Niemczech.

Do równie starannych wydawnictw należy zaliczyć przedruk klasycznego dzieła Władysława Łozińskiego *Życie polskie w dawnych wiekach*, dokonany przez *Księgarnię Polską* w Paryżu. Książka liczy 194 strony i zawiera 107 doskonałych ilustracji w tekście oraz na specjalnych tablicach. (Cena w Anglii 22 s.). Dzieło Łozińskiego jest zbyt stare, żeby pocieszyć zawodowych wspominkarzy, ale za to pokrzepi ono na pewno młodych tradycjonalistów.

J. P.

Londyn, 28 lutego 1947 r.

---

ograniczyły się do stwierdzenia, że głosować nie mogą lub nie chcą w wytworzonych warunkach.

Jeśli tego sobie życzyli ludzie z grupy organizatorów, to sukces ich byłby zupełny. Nie jesteśmy skłonni iść tak daleko w naszych podejrzeniach. Mamy wrażenie, że po prostu przeliczyli się, nie znając dobrze techniki tworzenia organizacji społecznych jedyną metodą właściwą — metodą organiczną, nie zaś działaniem "od góry".

Byłoby bardzo pożyteczne, gdyby inicjatorzy i twórcy tak przeprowadzonego Zjazdu, mającego na celu zjednoczenie społeczne, zanalizowali przyczyny, dla których dobra wola ze strony wielu poszczególnych organizacji została skierowana na ślepy tor. Pewne jest, że z tej drogi nie wyjdzie się poza grę, która szerokie społeczeństwo emigracyjne nic nie obchodzi, a raczej je odpycha. Konieczność życiowa narzuci inne rozwiązanie, które uwzględniać będzie to, co miał na celu, a co zmarnował pierwszy zjazd społeczny w Londynie: powszechny interes społeczeństwa polskiego w Wielkiej Brytanii.

Wnioski z dwudniowego zjazdu, mającego dać podstawę do społecznego jednoczenia się Polaków w W. Brytanii, nie należą tematycznie do niniejszego sprawozdania. Część wniosków nie potrzebuje jednak żadnej konstrukcji stylistycznej — nasuwają się same w sposób nieodparty.

OLG.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

W. Somerset Maugham : THEN AND NOW. *London*, 1946. *W. Heinemann Ltd.* Cena 10s 6d.

Jeżeli pisarz już stary, piszący dotąd tylko powieści i sztuki teatralne współczesne, i który na tym polu zdobył sobie zasłużony rozgłos i sławę, zabiera się niespodzianie do pisania powieści historycznej, to musi mieć w tym na pewno jakiś specjalny cel i zamiar. Zwłaszcza, jeśli powieści swej daje znamienny tytuł: "Wtedy i teraz" (*Then and Now*). Jasno więc można twierdzić, że pod pokrywką historii zechce on mówić o stosunkach współczesnych, starając się z przeszłości wyciągnąć dla narodu swego jakieś nauki. Pamiętajmy zaś, że Somerset Maugham to może najznakomitszy współczesny pisarz angielski, świetny stylista i głęboki psycholog, który w powieściach i nowelach swoich potrafi wznieść się na poziom mistrzostwa Maupassanta.

Bohaterem jego powieści jest Cezar Borgia. Nie idealizuje on go jednakże, tak jak to czyni np. popularny autor Sanatini, przeciwnie, daje obraz jego zgodny z historią: prawdziwy. Ukazuje go więc, jak bezwstydem i podłością usiłuje utrzymać się jako równy partner dwu istotnie wielkich potęg ówczesnych, Francji i Hiszpanii, i jak w tym celu nie waha się przed żadnym wiarołomstwem ani zbrodnią. Bardzo ciekawą naukę tej swojej polityki daje Cezar Borgia w powieści Macchiavellemu. Usłyszawszy, że Florentczycy dowiedzieli się o zdradzie dwóch swoich kondotierów i jednego nich, Vitellozza, skazali na śmierć, podczas gdy drugi potrafił umknąć i ujść w ten sposób karze, Cezar tłumaczy Macchiavellemu, że powinien on był przeprowadzić proces Vitellozza, uniewinnić go i obsypać zaszczytami. Wówczas i drugi winowajca powróciłby do ich służby, a wtedy cicho, bez rozgłosu, mogliby zamordować ich obydwóch.

A znając naród swój i jego zamiłowanie do komfortu moralnego i do wiary, że po tej wojnie ukarane zostaną już wszelkie wiarołomstwa, najazdy, łamania umów i zbrodnie, autor kończy swą powieść następującą uwagą Macchiavellego: "Na tym padole smutku i grzechu, jeżeli cnota triumfuje nad występkiem, to nie dlatego, iż jest ona cnotliwa, ale dlatego, że ma więcej i lepsze działa. Jeśli uczciwość bierze górę nad oszustwem, to nie dlatego, że jest ona uczciwa, ale dlatego, że ma silniejszą armię, umiejętniej dowodzoną. I jeżeli dobro zwycięża zło, to nie dlatego, iż jest ono dobrem, ale dlatego, że ma lepiej wypchaną kiesę".

Tak było "wtedy", i tak też jest bez najmniejszej wątpliwości i "teraz". Ale czy słuszny stąd należy wyprowadzić wniosek, że tak już było i tak być musi — zawsze?

LUBICZ

Wiesław Wohnout : OPOWIADANIA WARSZAWSKIE. *Rzym*, 1946. *Wydawnictwo Pion*. Stron 118.

Historia kilkoletnich zmagań narodu polskiego z okupantem niemieckim, jej tragizm i heroizm, jest dla pisarzy niewyczerpaną kopalnią tematów. Ale właśnie przez niewypowiedzianą głębię tragizmu i heroizmu, przez prawdziwość niemal nieprawdopodobnych zdarzeń, jest to grunt niebezpieczny dla wstępujących nań sprawozdawców. Zbyt trudny do uniknięcia patos, zbyt wielka obfitość materiału dla niezgubienia się w szczegółach, za wielka różnorodność i pozorna sprzeczność aspektów dla utrzymania linii obiektywnej.

Wiesław Wohnout wykazał w swych "Opowiadaniach Warszawskich" prawdziwy talent literacki, połączony z niezaprzeczoną znajomością przedmiotu. Odmalował obraz Polski Podziemnej wzruszająco, ale bez patosu. Pokazał — ludzi. Nie legendarnych bohaterów, ale właśnie ludzi. Ich heroizm — prosty, nieskomplikowany, naturalny heroizm zwykłych ludzi — tym bardziej wzrusza i tym bardziej pozwala czytelnikowi wniknąć w atmosferę Polski Podziemnej.

Książka jest zbiorkiem opowiadań na pozór oderwanych, w gruncie rzeczy stanowiących fragmenty jednej całości. Każde opowiadanie jest reflektorem rzuconym przez sekundę na jakąś postać, wychodzącą na tę chwilę z mroku i w mrok ten znowu schodzącą. Ale sekunda światła wystarcza, by postać tę dojrzeć i zapamiętać.

Autor nie bawi się w drobiazgi i nie marnuje słów. Na pozór beztroskim, gawędziarskim stylem rzuca garść uwag, opisuje jakieś zdarzenie, scenę. Nie mozoli się nad dokładnym oddaniem tła czy wypływających ze zdarzenia implikacji. Te rzeczy czytelnik sam widzi i wyczuwa.

Bohaterowie opowiadań nie należą do jednej grupy. Autor sam jest socjalistą, ukazuje jednak postacie z różnych ugrupowań politycznych. Jasno zresztą z opowiadań wynika, że przynależność do tej czy innej partii była sprawą raczej drugorzędną; jedność ostatecznego celu i jedność niebezpieczeństw odsuwały różnice przekonań w cień.

Jest jeden szkic, p.t. "Tajemnica stanu", poświęcony pamięci bezimiennego narodowca — (nazwisko znane autorowi było pseudonimem). Krótki to szkic, ale mówi bardzo wiele. O ciężkiej, absorbującej pracy konspiracyjno-wojskowej, która, choć pochłania całkowicie, nie zabija wielkiej żądzy wiedzy, kształcenia się. Młody człowiek, już aresztowany, w przededniu śmierci przekazuje innym tę żądzę. Poleca im książki, których sam nie miał czasu przeczytać, poleca im osobę, która tych książek dostarczy. Obiega jego polecenie za pomocą grypsów przemycanych z więzienia, przekazywanych z rąk do rąk — poprzez ludzi, którzy przejmują polecenie nieżyjącego już autora i którzy przed własną śmiercią przekazują je dalej, aż trafia do kogoś, kto wreszcie jest w stanie je wypełnić.

Jest i wspomnienie o Stanisławie Piaseckim z krótkiego okresu prowadzenia przez niego popularnej kawiarni, w której przy jednym stoliku siadywali Stanisław Miłaszewski, Kazimierz Czapiński i Adolf Nowaczyński. O tym ostatnim znajdzie czytelnik szereg wzruszających szczegółów. Opowiadania nie ukazują Nowaczyńskiego dziennikarza czy autora, ale Nowaczyńskiego jako uosobienie postaci jednej z jego książek — Brata Alberta. Nowaczyńskiego — schorowanego, steranego starca, który wydeptuje przedpokoje, wdrapuje się, choć chory na serce, po stromych schodach, by wyżebrać jakąś pomoc, trochę żywności czy pieniędzy — nie dla siebie, ale dla chorych kolegów. Warto tu przytoczyć jeden ustęp, malujący go może najlepiej:

"Żył jeszcze jakiś czas po tej przygodzie (t.j. aresztowaniu i pobiciu przez Gestapo), ale stan jego zdrowia nie poprawił się. Pomimo to wydeptywał dalej przedpokoje w K.K.O. miasta Warszawy i powiatu warszawskiego, na Traugutta i Jasnej — w bankach, spółdzielniach i spółkach, a także u co zamożniejszych burżujów o endeckiej przeszłości, wyżebrując pożyczki wekslowe i bezzwrotne zapomogi dla młodszych kolegów: prawicowców, lewicowców, klerykałów, wolnomyślicieli, katolików, przechrztów i żydów"...

Jak wynika z zacytowanego urywka nie brak w książce starej, socjalistycznej dialektyki. "Burżuje" bowiem endeccy czy socjalistyczni istnieli w omawianym okresie jedynie w literackiej wyobraźni jako . . . stylistyczna ozdoba opowiadania. A. W.

KSIĄŻKI NADESŁANE

W. Lubicz : UWAGI O KONKORDACIE POLSKIM. *Londyn*, 1947. *F. Mildner & Sons.* Stron 47. Cena 2s. 6d.

B. Gebert i G. Gebertowa : WYPISY HISTORYCZNE. *Glasgow*, 1946. *Książnica Polska.* Stron 175.

Aleksander Janta : WIDZENIE WIARY. *Nakładem autora.* Stron 121.

Jerzy Niemojowski : NAJKOSZTOWNIEJSZY POEMAT. *Hanower*, 1946. *Polski Związek Wychodźstwa Przymusowego w Hanowerze.* Stron 31.

Bronisław Kamiński : OBRAZ CZŁOWIEKA. *Paryż*, 1947. Stron 127.

Zygmunt Nowakowski : JESIEŃ I WIOSNA LUDÓW. *Londyn*, 1946. *Nakładem autora.* Stron 36. Cena 1s.

Witold Ipohorski-Lenkiewicz : GRANICE POLSKI. Przedmowa Juliusza Poniatowskiego. *Rzym*, 1947. *Związek Polaków we Włoszech.* Stron 32.

W Wielkim Tygodniu
w środę 2 kwietnia 1947 r. o godz. 7-mej odbędzie się w OGNISKU POLSKIM, 55 Princess Gate, Exhibition Road.

WIECZÓR POEZJI
JERZEGO PIETRKIEWICZA
Poemat p.t. "Msza Święta"

W części muzycznej wystąpi znany pianista MARIAN BŁASZCZYŃSKI

Bilety wstępu 3/6 — szeregowi 1/6

Dochód z wieczoru przeznaczony jest na Związek b. Więźniów Politycznych na Emigracji

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczne (6 numerów) 12s. lub $4.
Prenumerata roczne (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1. March, 1947.